Numer 23. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 7 Czerwca 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zawsze to samo.

— Czegoś taki smutny, kiedym ci zapłacił rachunek? Inaczej tobyś się mógł obawiać, że majster cię ze złości wygrzmoci, ale tak?

— A bo to tak, proszę pana, jak majstrowi nie przyniosę pieniędzy, to mię ze złości wygrzmoci, a jak mu przyniosę, to z radości upije się, a wtedy mnie także wygrzmoci.



Także uzdolnienie.

— Więc pan chcesz objąć w hotelu naszym posadę portjera, czyś pan już zajmował gdzie takie miejsce?

— Nie, proszę pana.

— Czy zna pan obce języki? Lub czy może pan dowieść uzdolnienia do tak trudnej posady?

— Biorę nadzwyczaj chętnie na piwo.



Zaradny synek.

Matusiu! matusiu! mysz wpadła do skopca z mlekiem — woła mały chłopczyna.

— To ją wyrzuć! — odpowiada matka.

— Już nie potrzeba! — woła znowu mądry synek, bo już wrzuciłem kota naszego do mleka, to mysz zaraz wygoni!

Na jarmarku.

— Wiecie Mateuszu, że syna mego wzięli do wojska!

— E? A mój ani jeden nie poszedł.

— A to jakim sposobem?

— Bo widzicie, ja mam same córki!



Życzenie w imieniny.

— Winszuję ci Magda, żeby się konie wiodły, krówska nie słabowały, i żeby wieprzek się upasł.

— A mnie to zdrowia nie życzysz?

— Aby jeno dobytek był zdrów, moja kobieto, to plunąć na resztę.



U wójta.

— Coście Wojciechu tak spuchli?

— A to proszę was, panie wójcie, Walenty stróż z przeciwka, tak mnie dojechał w meldunek.

— Jakto w meldunek?

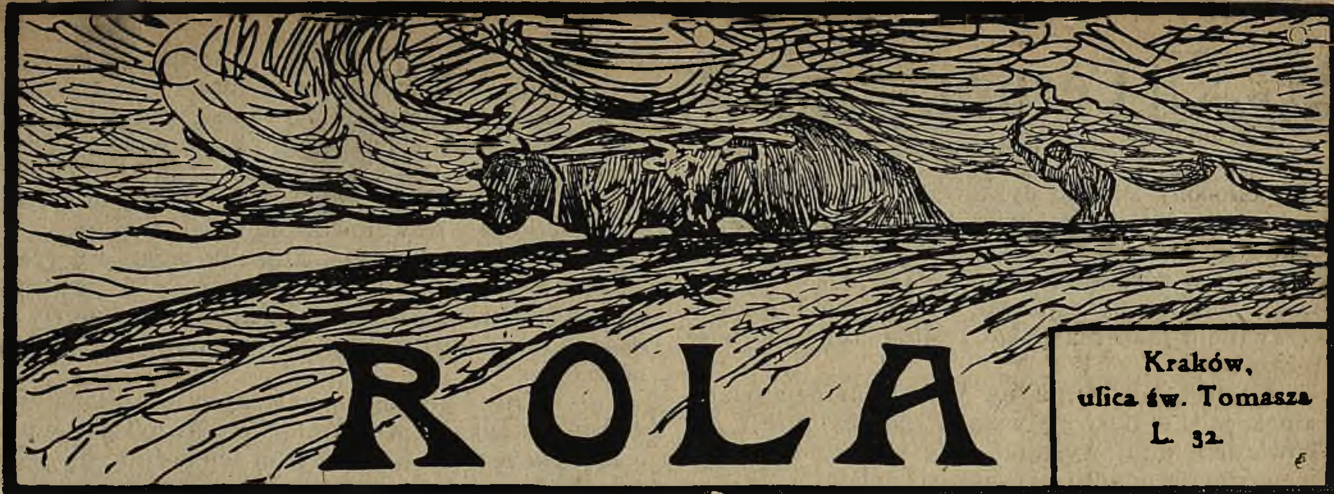
— Ano, jużci przecie tak, boć się nie nogą melduje, jeno gębą.



Delikatność.

Może mnie pan obdarzy jakiem starem ubraniem, bo w tych łachmanach to mnie aż wstyd żebrać.

Numer 23. Rok XIV. Kraków, dnia 14 czerwca 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Uroczystość Bożego Ciała.

Jedną z najwspanialszych uroczystości całego roku jest uroczystość Bożego Ciała. Obchodzimy bowiem w dniu tym pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu i Mszy świętej. — Wprawdzie Najświętszy Sakrament ustanowił Pan Jezus w Wielki Czwartek podczas Ostatniej Wieczerzy, ale że w dzień ten Kościół święty jest zajęty rozważaniem męki Pana Jezusa, przeto na obchód tak radosnej tajemnicy ustanowił uroczystość Bożego Ciała, wybrał do tego najprzyjemniejszą porę roku, kiedy wiosna w całym rozkwicie, kiedy ziemia cała pokryta kobiercem różnorodnych kwiatów i roślin, jakby ubrana na przyjęcie Boga-Człowieka w Najświętszym Sakramencie utajonego.

Nietylko bowiem święcimy w Boże Ciało pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu, ale publicznie w najuroczystszy sposób cześć, na jaką tylko zdobyć się możemy, oddajemy Mu. Obnosimy w najwspanialszej procesji Pana Jezusa po ulicach miast i wsi i wiarę naszą w Niego wyznajemy wobec całego świata, wobec niedowiarków wszelakiego rodzaju, wobec nieba i ziemi. Wierzymy i wobec całego świata wyznajemy, że Jezus Chrystus jest utajony w Najświętszym Sakramencie, jako żywy i prawdziwy Bóg, jako żywy i prawdziwy człowiek.

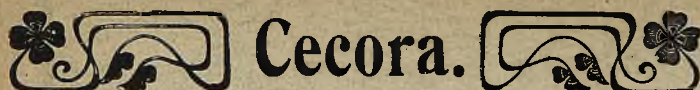
Do szczególnych obrzędów uroczystości Bożego Ciała należy we Mszy św. Benedykcja czyli Błogosławieństwo Najśw. Sakramentem przed Ewangelją,a po Epistole. Kapłan znosi z tronu Najświętszy Sakrament, po zwykłem okadzeniu bierze go do rąk i śpiewa dalszy ciąg czytanych poprzednio przez siebie, a przez chór śpiewanych słów „Ecce panis Angelorum“. co znaczy: „Oto chleb aniołów stał się pokarmem podróżnych, prawdziwy chleb niech psom nie będzie rzucony....“ itd. Po zaintonowaniu ostatniej zwrotki hymnu, udziela kapłan błogosławieństwa wiernym, zebranym w kościele, monstrancję z Najświętszym Sakramentem stawia na tronie i śpiewa Ewangelję, jak zwykle.

Drugim szczególnym obrzędem tej uroczystości jest procesja do ołtarzy, które budujemy i przyozdabiamy po ulicach miast i wsi. Przy każdym z tych czterech ołtarzy śpiewa się początek Ewangelij czterech Ewangelistów, to jest świętych: Marka, Łukasza, Mateusza i Jana na oznaczenie, że wszystkie narody powołuje Chrystus do wiary i że wszyscy Ewangeliści zgadzają się z tem, że w Najświętszym Sakramencie dał nam Pan Jezus prawdziwe Ciało i Krew Swoją na pokarm ku żywotowi wiecznemu.

Gdy procesja wraca od ostatniego ołtarza do kościoła, śpiewa się po łacinie stosowną pieśń, podczas której kapłan udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Procesja, jak zwykle, kończy się hymnem „Te Deum laudamus“.

Praojcowie nasi, jak wogóle wszystkie uroczystości kościelne, tak i tę odbywali z nadzwyczajną okazałością; pozostawili oni nam w spuściźnie kilka pięknych pieśni, w których, jakby w katechizmie, jest zawarta nauka o Najświętszym Sakramencie. Tryska z nich wiara żywa, namaszczenie, prostota i prawdziwa pobożność.

Uroczystość Bożego Ciała ustanowił w drugiej połowie XIII wieku papież Urban IV wskutek objawienia Błogosławionej Johanny z Mont Cornillon. — Uroczystą procesję do ołtarzy nakazał odprawiać papież Jan XXI w roku 1316. Od tego czasu uroczystości te rozszerzały się coraz bardziej po świecie, docierały w każdy zakątek, gdzie tylko znajdowali się chrześcijanie, i coraz bardziej utrwalały, aby przetrwać do końca świata.



Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Rozochocony Plichta dyktował już Skinderbaszy warunki, do Jass się zabrał i hospodarstwo Mohylom oddawał. Animusz wszystkich ogarnął, kielichy znów nalane w górę wzniesiono, nawet pan wojewoda kijowski, podniecony zapałem, do kniazia Koreckiego się zwrócił, jako mającego z Mohylami styczność najbliższą.

Uśmiech zadowolenia na ustach kniazia siadł, wąsa pokręcił, w boki się wziął i znać było, że z podziękowaniem miał wystąpić, gdy nagle puhar hetmana na ziemię upadł i prysnął w kawałki.

Runięcie to hetmańskiego kielicha oniemiło usta wszystkich. Krzyki umilkły, jakby kto je w ziemię wbił, a kniaź sponsowiał jak upiór, oczy zaś wszystkich zwróciły się na wysoką poważną postać Żółkiewskiego, który wśród nich stał z czołem lekko zmarszczonem, z zagadkowym wyrazem na twarzy, jakby zdziwiony sam tylko co zaszłym wypadkiem.

— Kielich pękł, wino się rozlało — rzekł, wskazując na płyn rozbryzgnięty i kawałki migocącego szkła. — To znak, że o przyszłości przesądzać nie wolno, że są siły na zewnątrz nas, krępujące wolę naszą i chęci.

Spojrzał na obozowy zegar.

— Północ! — dodał.

Zdjął czapkę i znak dał, że uczta zakończona być musi.

Jak wiatr z gór, takim chłodem powiały słowa hetmana. Nie odezwał się żaden głos niechęci czy zapytania, wszyscy w milczeniu pożegnali wodza i opuścili namiot.

Nie wiedział nikt, czy kielich niechcący wysunął się z rąk Żółkiewskiego, czy Żółkiewski sam nim o ziemię cisnął, lecz owa uczta przerwana, właśnie w chwili, gdy pełną za zdrowie Mohylów podniesiono, ubodła kniazia. Różni różnie tłómaczyli sobie to wysunięcie się kielicha i słowa hetmańskie, jeno kniaź był pewny, iż nie w interesie Mohylów tę wojnę prowadzono, że zdobyte Jassy nie im w udziale przypadną, a dziwną tajemnicą wiały słowa hetmana o sile jakiejś, krępującej wolę i chęci. Zauważył każdy, że hetman mówiąc te słowa, brew ściągał, a w piersi zaparł dech, jak to ci czynią, którzy ból nagły wewnątrz uczują; zdawało się niektórym, że słowami temi kierowała moc jakaś zewnętrzna, o której wódz naczelny wspominał był. Ten i ów wspomniał sobie o liście królewskim, przez Kopycińskiego Żółkiewskiemu wręczonym, lecz co on zawierał w sobie, nie wiedział nikt; zapytywany Kurzański nawet powiedzieć nic nie umiał, jedno tylko, że ilekroć wziął go hetman do ręki, brew ściągał, kierował oczy na Dniestr, stał długo, jako głaz nieruchomy — i patrzył.

Przerwana uczta w namiocie hetmana nie mogła już wesołości nawiązać. Triumf Plichty, szalony atak Kopycińskiego zmalały przed zagadką myśli hetmańskiej. Jurny kniaź burzył się tylko na niedokończony toast, na cześć Mohylów wzniesiony, na wyraźne niezadowolenie wodza ze słów Plichty i wojewody kijowskiego, choć uspokajał go pan Tomasz Zamoyski, mówiąc o względach wyższych, które tak a nie inaczej kazały hetmanowi postąpić.

— Chciałem i ja waszmość panu dogodzić — prawił — ale dziwne pęknięcie puhara zwiało słowa z ust moich. Wypadek, czy nie wypadek — wierzaj mi waszmość, że albo hetman nie mógł inaczej postąpić, albo prowidencja sama w sprawę się oną wdała.

— Ostaw waszmość wypadek i prowidencję — rzekł kniaź. — Niechęć to jeno ku Mohylom Żółkiewskiego, a właściwie ku mnie. Kielichy nie pękają na rozkaz i to w chwili, gdy każdy z waszmość panów z głaszczącemi słowami do mnie się zwrócił.

— Drażliwość wasza, kniaziu, przesadza rzecz!...

— A ona: „Północ!" hetmańska i pożegnanie nas, gdy jeszcze dna nie ujrzeliśmy kielichów? Niechęć, powiadam i waść, panie wojewodo, nie przekonasz mnie.

— Gdyby i niechęć, to zawżdy uzasadniona uprzednimi postępkami waszymi. Nie czas był po temu, by o Mohylach mówić, nie o tron ich wojna się prowadzi. Wżdy, gdyby inaczej było, potępiona przez rząd rzeczypospolitej samorzutna wyprawa wasza, kniaziu, usankcjonowanąby została. Na to hetman zezwolić nie mógł i ucztę przerwał.

— Mądrze gadacie, mości wojewodo — kniaź mruknął. — Ale zawżdy mnie dyshonor spotkał.

— Nie bierz waszmość tego tak bardzo do serca, a przy pierwszej okazji daj poznać hetmanowi, że nad interes Mohylów i osobistą urazę, wyżej cenisz rzeczypospolitej dobro. Burzeniem się nie wskórasz nic — li szala zasług pociąga za sobą stosowną nagrodę.

— Zamoyski! Zamoyski! — wycedził przez zęby kniaź, ale uśmiechnął się. — Oby za Dniestr przejść prędzej, a Koreckich krew pokaże, co warta — dodał.

Ale mijały dni za dniami, a wojska się nie ruszały. Ni Skinder-basza, ni Żółkiewski o przeprawie przez Dniestr nie myśleli. Rycerstwo się niecierpliwiło, dłoń do szabli swędziła, ten i ów na ochotnika chciał za rzekę pójść i szczęścia w pojedyńczem spotkaniu spróbować — ale groźny rozkaz wodzów zamysłom onym na przeszkodzie stawał. Z niepokojem patrzono na namiot Żółkiewskiego, gdzie ani narady wojennej, ani zebrania koła nie było. Hetman, jak zwykle, objeżdżał obozowisko, posępniejszy był tylko i mniej dostępny.

Dnia jednego pojawili się w obozie polskim wysłańcy Skinder-baszy, następnego przez Dniestr przeszli posłowie, z hetmańskiego obozu wysłani. Zaczęły się pertraktacje jakieś, widocznie kroki przedwstępne dla zażegnania burzy. Nie niepokojono się jednak tem zbytnio. Żółkiewski, widząc animusz wojsk, twardy jak orzech będzie. Nie teraz pułkom polskim z nad Dniestru powracać, gdy dwadzieścia tysięcy serc bije ochotą wojenną. Prawda za Dniestrem stoją krocie — ale tu odwaga, męstwo i chrześcijański Bóg. Strach poczuł Skinder-basza i posłów śle; zafurczą kopje polskie w odpowiedzi, jeno niech wyczerpie się cierpliwość hetmańska.

Tak szeptało pomiędzy sobą rycerstwo, dumnem okiem przeprowadzając posłów Skinderowych, spieszących do hetmańskiego obozu.

I znowu upłynęło dni kilka na onych odwiedzinach wzajemnych. Jak rzeczy stały, nie wiedział nikt, ale musiały z kamienia iść i raz wraz rwały się nawiązywane nici. Pewnego dnia nawet ruch zapanował w obozie tureckim, a z namiotu hetmańskiego rozkazy wyszły, by wojsko całe w gotowości było. — Oczekiwano jeno powrotu posłów, do Skinder-baszy wysłanych, przyniesiona zaś przez nich wiadomość zadecyduje o ruchu wojsk. Nikt z rycerstwa nie wątpił, że postawione przez Żółkiewskiego warunki twarde będą, jak gród wawelski. Hetman zażąda usunięcia się precz z Wołoszczyzny, oddania jej we władz-

two polskie i srogiego poskromienia Tatarów. Jeżeli Skinder-basza zgodzi się, zgasną wnet ognie rozpalone przez Kantemira; jeżeli nie — odezwą się armaty i nastąpi upragnione przejście przez Dniestr. Ale działa milczały, nic nie zamąciło błękitnej wstęgi rzeki, a z upłynionym dnie każdym rosła i zbliżała się łuna pożarów, nocy zaś pewnej tłum tatarstwa pod obóz podszedł, straże zniósł i popłoch rzucił wśród śpiącego rycerstwa.

— Za śmiało sobie Kantemir poczyna — ozwał się Żółkiewski. — Kto z nim popląsać zechce, niech sam tu stanie.

Kupa ochotników się znalazła, że gdyby hetman chciał onej fantazji dogodzić, nie byłoby komu na Skinder-baszę iść. Znak to jednak był, że się rycerstwo bezczynnością nużyło i że za jakąbądź cenę boju pragnęło. I Plichta i Korecki na Kantemira się rwał, a nie wstyd było rycerzom takim z „Krwawym Mieczem" spotkać się, rozgromienie zaś djabła onego równałoby się połowie zwycięskiej batalji. Hetman nie wiedział sam, jak z oną ochotą poradzić, lecz pan Symeon Kopyciński z kłopotu go uwolnił.

— Pozwól wasza miłość — rzekł, schylając się Żółkiewskiemu do stóp — ptaszeczkom moim tych psów niewiernych podziobać. Nie jadło to jeszcze mięsa tatarskiego, to smakować im będzie. Porzezą Tatarów, to na tem matka nasza rzeczpospolita skorzysta, a jeżeli ich porzezą, to na tem człowieczeństwo nie wiele straci, a zawsze kużdy na swoją duszę mendel tego paskudztwa weźmie. Za jedno ręczę, że żaden z ptaszeczków onych zadu nieprzyjacielowi nie pokaże. Pod tym względem nauczyłem ich modestji.

Propozycja ona podobała się hetmanowi.

— Dobrze, — rzekł. — Za tydzień czekam powrotu waszmości.

— Tatar niedaleko — odparł Kopyciński.

— Za śmiały napad — hetman na to. — Przygotuj się wasze z samym Kantemirem się spotkać.

— Dałby Pan Jezus, ażeby było tak, jako wasza miłość prorokujesz — odpowiedział pan Szymon.

Zaledwie mrok pierwszy na ziemię padł, pan Szymon Kopyciński wyruszył z ptaszkami swoimi z wielką zazdrością rycerstwa całego. Straszliwy murza niedaleko obozu czaić się musiał, zachodził jak lis, napadał jak wilk, a dojrzeć go najczujniejsze straże nie mogły. Dobrem schronieniem dla tatarstwa były trawy bujne, rozpadliny skalne, rozdoły dzikiemi gruszami porośniętei wyrwy glinisk, któremi step był przerznięty. Od dni kilku, wiatr ciągnący za Dniestr, przynosił zapach spalenizny, snuć się zaczęły dymy szare, żrące oczy, duszące pierś. Rycerstwo nie mogło pojąć polityki hetmana, nieruchomości wojsk obu. Żółkiewski dokoła siebie widział spojrzenia pytające, słyszał pomruk niechęci, a i znać było po postaci hetmańskiej, że coś go gniotło i z równowagi wyprowadzało. Raz wraz posłowie polscy szli i wracali z obozu Skinder-baszy, w namiocie hetmańskim rozpoczęły się narady, ale na zewnątrz nie wychodziło nic, Kurzański milczał, albo nie wiedział sam o zamysłach hetmana. Kilkakrotnie pan Tomasz Zamoyski z pocztem rycerstwa wysłany kędyś został; dowiedziano się, że w Chocimiu był, widział się z Michałem Iwonią z Mohylów rodu, który Chocim prawem dziedzictwa w ręku swem trzymał.

Chocim.

Kniaź Korecki do Zamoyskiego się udał.

— Widziałeś się waszmość z Iwonią?

Zamoyski milczał.

— Co miał hetman do niego?

Zamoyski nic nie odpowiedział.

Kniaź o nic już nie pytał; wiedział, że tajemnicy narad nikomu zdradzać nie wolno było.

Tymczasem tydzień upłynął, a pan Szymon Kopyciński nie wracał. Znać nie wiele na Kantemirze wskórał, bo łuny nie przygasały, a podchodzenie czat w dalszym ciągu trwało. Dwa tylko zostawały przypuszczenia: albo „Miecz Krwawy" ślady swoich pochodów mylił, albo zniósł oddział pana Szymona.

Hetman zaniepokoił się.

— Ptaszeczków coś jak niema tak niema, — odezwał się Plichta.

— Poszukałbyś ich waszmość — rzekł na to hetman.

I tejże nocy pan rotmistrz cichaczem wyszedł z obozu.

Zabrawszy języka, szedł pana Szymona śladami.

Wytrawny rycerz odrazu poznał, że gonieni Tatarzy pierzchali przed następującym oddziałem Kopycińskiego. Z zaskoków ich znać było, że chcieli pana Szymona w matnię wprowadzić, otwartego boju unikając. Pan Szymon opędzać się im musiał i wirować wciąż na niewielkiej przestrzeni, oddalając się to zbliżając do obozu, posuwając się w stepy, to ginąc w labiryncie rozpadlin i jarów. Ślad onego wirowania pana Szymona zaznaczony był głowami tatarskiemi. Nie był to bój, lecz pościg przygodny, pojedyńcze walki jakieś, opędzanie się dzika przed zgrają psów zastępujących mu drogę. Kilkadziesiąt tułubów tatarskich walało się na rozległej przestrzeni, lecz snać żaden z ptaszeczków pana Szymona na Bożej ziemi nie spoczął, ani pałki swej lub rohatyny uronił. Plichta widział wszędzie zwycięski pochód Kopycińskiego, choć poznał łatwo, że przebiegły wódz bisurmanów w sieć jakąś go plącze: wyprowadził z równin stepowych, a między zarośla i gliniska prowadzi. Po trawach zbitych, po trupach koni i pomordowanego tatarstwa, Plichta wiedział, dokąd się udać i szedł napewno, spodziewając się lada chwila dotrzeć do wysłanego podjazdu.

Dnia trzeciego zapuścił się w naddniestrzańskie góry.

Słońce miało się ku zachodowi, tatarskich głów nie spotykał, ale stratowane trawy i ziemia świeżo skopana, mówiły o przejściu znacznego oddziału. — Ślady potwornych kopyt, wyciśnięte w ziemi miękkiej, mogły być tylko śladami ptaszeczków pana Szymona. Kopie się w glinisku, druzgoce krzewy, tamuje bieg strumieniom górskim — goni, ale ta gonitwa podobniejsza jest do nieoględnego zapadania w potrzask.

Pan Plichta zatrzymał swój oddział dla dania odpoczynku koniom, a sam wysłał podjazd niewielki, który w pojedynkę się rozsypał i zniknął między załomami skał, w jarach i czaharach. Pan rotmistrz, nim słońce zajdzie, chciał wiedzieć, czy żadne niebezpieczeństwo noclegowi nie grozi, a zresztą może w pobliżu Kopyciński zatrzymał się i koniom zmęczonym odpoczynek zamyślał dać.

Zmierzch powoli zapadał, ale jednocześnie powstający księżyc rozpędzał mroki. Jar powolnym spadkiem szedł w głąb, rozszerzał się i wyrównywał; mchy bujne zalegały boki, pożółkłe paprocie srebrzyły się w blaskach miesięcznych, a stare olchy tu i tam stojące, choć wiatru nie było, migotały listkami białymi. Cisza ona, milczące rozmodlenie się drzew, nie zapowiadały zdrady żadnej. Ptak senny nie zrywał się z gniazda, ogromny pająk sieć snuł wśród gałęzi ol-

szyn, zdala dolatywało smętne kumkanie żab, a koniki zgrzytały w trawach.

Plichta zsiadł z konia i na kamieniu spoczął; ten i ów z towarzyszów wyprawy wyciągał się głośno, albo popręgi u koni skubiących zielska poprawiał.

Ta noc rozmarza pana rotmistrza... Zarysowują się przed nim białe ściany domu w Jagodyńcach, ściany rosną, rosną, rosną, przemieniają się w mury żółkiewskiego zamczyska i przed oczy Plichty, jako wizja senna, staje Halszka Jaszczołdówna.

Co ona porabia teraz, ta Halszka jego?

Ano, pewno odmawia koronki do Przemienienia Pańskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z pamiętników lotnika.

Rozkoszny wieczór czerwcowy działał jak balsam kojąco na wzburzone nasze nerwy po kilkugodzinnym locie. Służba jest ciężka w przestworzu, a jednak było nam wesoło. Mój kolega Henryk piękny miał charakter i złote serce. Pomimo, że był z pochodzenia Kroat, kochaliśmy się. Mieliśmy jeszcze przyjaciół, ale niestety czworonożnych. Henryk miał psa „Dona“ a ja przywiozłem sobie z Czarnogóry małpkę „Krysię“. Krysia zadowolona po naszej całodziennej rozłące, wystawiała co chwilę swoje białe ząbki i zapamiętale uprawiała swój sport, huśtając się na łańcuchu zegara, pozostawionego przez byłych właścicieli.

Don był tego wieczoru niezwykle poważny, polizał od niechcenia swoją kolację, popatrzył na nas, jakby chciał powiedzieć: coś mi dzisiaj nie smakuje i ułożył się na swoim sienniczku. Nie zwykł był czynić tego, raczej wolał drażnić się z Krysią, lub też popisywać się, że i on coś potrafi z psiej akrobatyki.

I nam jakoś tego wieczoru rozmowa się nie kleiła.

Poruszyliśmy parę różnych tematów, wreszcie nastąpiło milczenie i każdy z nas puścił wodze swoim myślom. Z zadumy tej ocknęły nas szybko zbliżające się czyjeś kroki, pies rzucił się, szczekając do drzwi, ale w tej chwili urwał. Zobaczył żołnierza, zresztą zawsze czuł respekt dla munduru. Żołnierz wszedł i zameldował:

— Z rozkazu dowództwa lecicie ponownie jutro o świcie na wywiad.

Zasalutował i wyszedł.

Piękny świt zapowiadał pogodny dzień. Panorama alpejskich gór wspaniale odzwierciedlała się przy wschodzącem słońcu. Henryk w tym dniu był jakoś dziwnie smutny. I Don, który nas odprowadził na lotnisko, wzniósł głowę do góry i zawył przeciągle i żałośnie.

Mimowoli uczułem i ja jakiś dziwny lęk i zwróciłem się do kolegi ze słowami:

— Heniu, ten pies zwiastuje jakąś złą wróżbę, oby...

— Eee! Wy Polacy zawsze jesteście przesądni — żachnął się, — ot chwilowe rozdrażnienie.

— Może i masz rację Heniu, przecież dotychczas gwiazda szczęścia nam świeci.

Rozmowę naszą przerwał nam dowódca, który w krótkich słowach objaśnił nam czekające nas zadanie. W tej chwili prawie krótko po sobie warknęły dwa silniki motorów. Silnik na płatowcu Henryka, jakby się pogniewał, że budzą go tak wcześnie, dłuższą chwilę nie reagował na wysiłek mechaników.

Wreszcie i jego zmuszono do pracy. Nabieramy wysokość, formujemy się w szyk bojowy i trzy demony stalowe rwą w kierunku południowym. Coraz dalej, wyżej i wyżej nad okopy nieprzyjacielskie.

Już nas dostrzegli.

Na ziemi widać błysk małych ogników i wnet silny wstrząs powietrza zakołysał nasze ptaki stalowe.

Czem raz to więcej ogników i już jesteśmy otoczeni wybuchami czarnego dymu. Wśród nieustających wybuchów pocisków kończymy nasze zadanie, zwracamy maszyny o stoośmdziesiąt stopni, aż tu nagle jak widmo wyłania się na horyzoncie eskadra nieprzyjacielska. Dowódca eskadry nieprzyjacielskiej też nas zauważył, bo widać szybkie i fachowe przygotowania do ataku. Odległość się zmniejsza z każdą sekundą. Za chwilę ustaną wybuchy armatnie, a zacznie się walka na śmierć i życie. Podniecenie wzrosło do punktu kulminacyjnego, równocześnie wzrasta chęć zniszczenia przeciwnika.

Bo i co, poddać się, dlatego tylko, że wróg jest trzykrotnie liczniejszy?

Nie! Honor na to nie pozwala. Rzucam jeszcze pobieżnie wzrokiem po przyrządach sprawności płatowca, naraz jak grom z jasnego nieba oślepiający błysk, głuchy krótki trzask i oto płatowiec Henryka ma zerwany koniec kadłuba wraz ze sterami. Równocześnie krótki krzyk mojego obserwatora, który się zachwiał i obwisł bezwładnie na krążownicy karabinów maszynowych. Henryk zwrócił jeszcze głowę w moją stronę, jakby ostatnie pożegnanie, maszyna jego zrobiła jeszcze odruch ku górze, ślizgnęła się na skrzydło i poszła korkociągiem w dół.

Wszystko stracone!

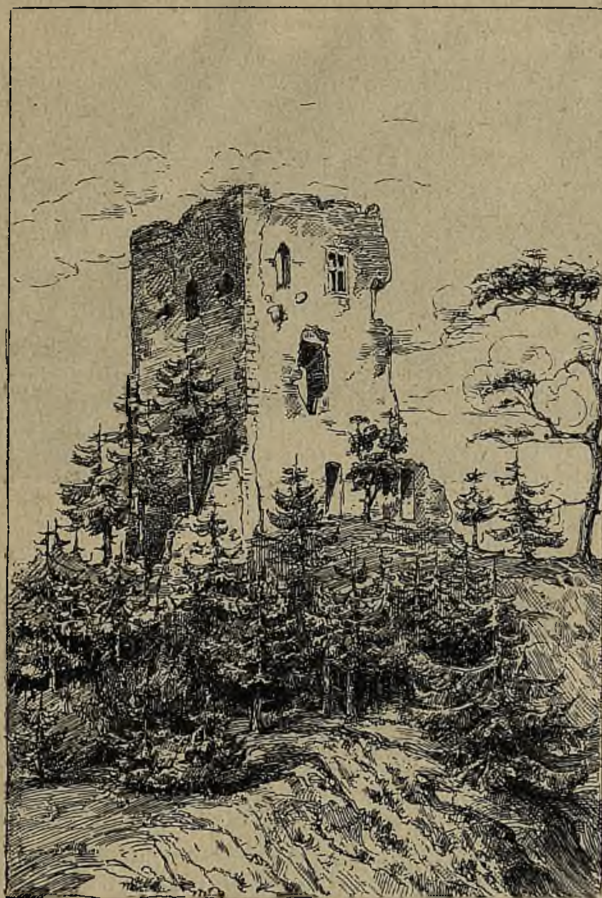
Dowódca widocznie też ranny, maszyna jego wykonuje nieprawidłowe ruchy i pada bocznem ślizgiem na ziemię. Ja trzeci z rzędu nadałem maszynie nagle kierunek pionowo w dół, i teraz się zaczął wyścig, jakby z mocą piekielną. Linki grają jakąś niesamowitą melodję, wskazówka wysokościomierza — spada z niewidzianą chyżością. Odruchowo nadaję maszynie lot w linji poziomej i obserwuję płatowiec Henryka. Niestety! Zamiast kształtu płatowca, spostrzegam zniekształconą masę łomu, a obok między grupkę żołnierzy dwie równo ułożone sylwetki. Mimowoli krzyknąłem rozpaczliwie: Henryku! Równocześnie żołnierze zdjęli czapki, zrozumiałem... nie żyje...

Dzień wielki w świecie katolickim. Koło kościoła w małym miasteczku alpejskim kończy się procesja Bożego Ciała. Twarze pobożnych choć poważne, ale rozradowane chylą się kornie, bo oto ksiądz staruszek błogosławi monstrancją na zakończenie nabożeństwa. Między naszą bracią lotniczą niema dzisiaj tej radości. Na prymitywnie zbudowanym katafalku, wśród powodzi kwiatów leżą zniekształcone ludzkie masy, to koledzy. Pod trumną Henryka leży od dwóch dni jego wierny przyjaciel Don, smutny i na nic nie czuły. Koledzy oddają ostatnią przysługę zmarłym. Don pierwszy kroczy za trumną Henryka, czuje, że jest to ostatnia jego przechadzka ze swoim panem. Orkiestra zaczęła grać powoli marsza Szopena, ból Dona doszedł do punktu kulminacyjnego, oczy zaszły mu krwią i wył przeraźliwie. Żal powstał ogólny i szczery, łzy perliły się w oczach nawet starym wiarusom. Don po oddanej ostatniej posłudze swojemu panu, nie zadowolnił się jednak przyjaźnią pozostałych, wrócił potajemnie w nocy na świeżą mogiłę Henryka, wgrzebał się po piersi w grób i tak podzielił los swojego pana.

S. Sanakiewicz.

Ruiny zamku w Rabsztynie.

W pobliżu bitej drogi z Wolbromia do Olkusza, na skalistej górze, widnieją jeszcze po dziś dzień ślady dawnego zamku warownego. Była to niegdyś sie-



Stara baszta w Rabsztynie.

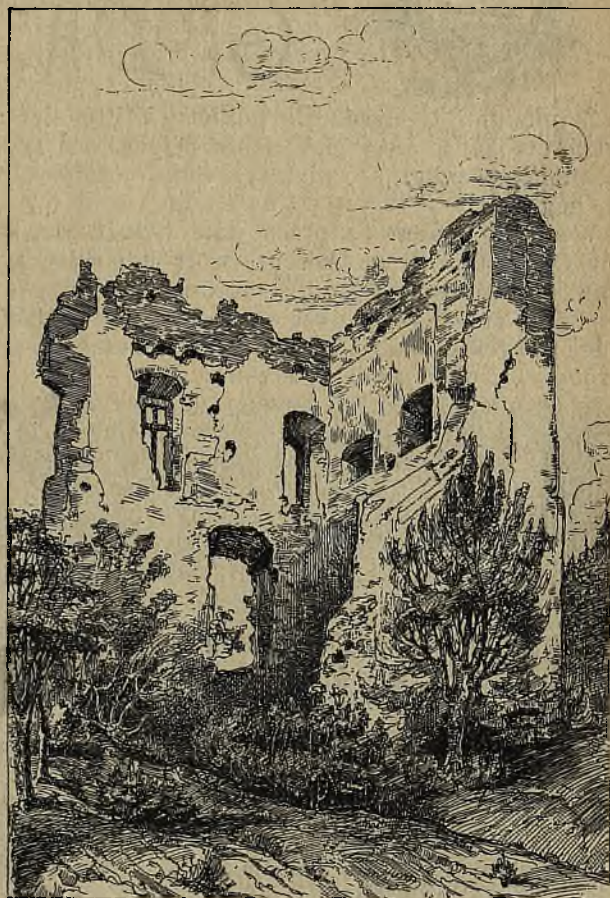
dziba potężnego rodu Toporczyków, którzy z czasem przybrali od zamku nazwę Rabsztyńskich.

Jak wskazuje sama nazwa niemiecka, Rabsztyn założyli prawdopodobnie Niemcy i nazwali ją z niemiecka, zamek jednak zbudowali prawdopodobnie Toporczykowie, którzy w tych stronach posiadali rozległe dobra. Było to miejsce wymarzone na taki zamek. Jak wiadomo, dawni panowie małopolscy mieli bardzo awanturnicze upodobania, najeżdżali często zbrojno bliższych i dalszych sąsiadów i sami byli od nich najeżdżani. Nikt nie był pewny, kładąc się spać, czy tam nocą nie zjawi się jakiś najazd pod murami jego siedziby; trzeba więc było być przygotowanym na każdą ewentualność. Obronne z natury rzeczy położenie góry rabsztyńskiej sprzyjało bardzo budowie warownego zamku.

Jak on w swej największej świetności wyglądał, dziś o tem nie wiemy, gdyż nie posiadamy fotografji jego, albowiem fotografja była jeszcze nieznana, ani go też nikt nie odmalował. Nie zachowały się też i obszerniejsze opisy tej bądź co bądź dużej i silnej warowni. Skąpe wiadomości, jakie czerpiemy ze „Słownika Geograficznego“, nie wiele nam mówią o zamku rabsztyńskim. Zdaje się jednak, że i ten zamek, jak zresztą wszystkie zamki polskie, odegrał w historji naszego narodu niepoślednią rolę.

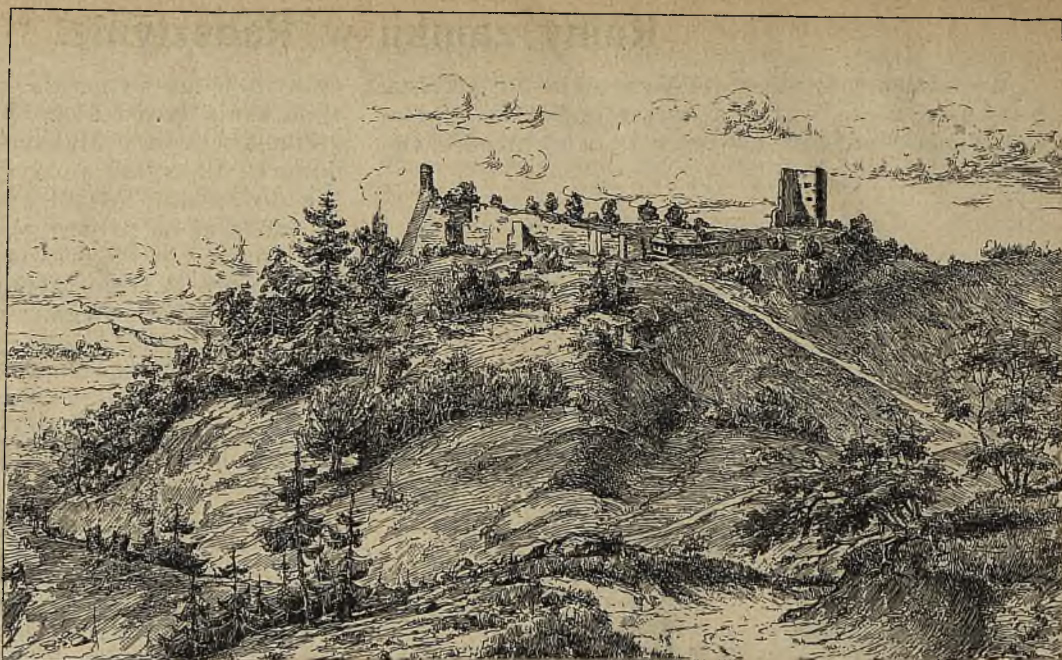
O jednym takim wypadku wspomina historja. — Oto gdy w Polsce umarł król Stefan Batory, naród polski rozdwoił się na dwie części: na sejmie elekcyjnym jedni wybierają królem polskim Zygmunta, syna króla szwedzkiego Jana Wazy i Katarzyny Jagiellonki, drudzy Maksymiljana, brata cesarza Rudolfa II. Maksymiljan wyruszył z dużemi siłami wojska do Polski, doszedł pod Kraków i obległ go. Ale tu napotkał na dzielny opór zwolenników Zygmunta tak, że nic nie wskórawszy, musiał się cofnąć z pod jego murów. A tymczasem dnia 8 grudnia 1587 r. przybył do Krakowa Zygmunt i tu się koronował, jako król polski. Wojna jednak nie ustała. Maksymiljan chciał jeszcze popróbować szczęścia, ale dopadł go pod Byczyną dnia 29 stycznia 1588 Jan Zamoyski i nietylko rozgromił wojska Maksymiljana, ale jego samego wziął do niewoli. Pogodzono się jednak wkrótce, gdyż Zygmunt III poślubił Annę Austrjacką i wszedł w układy z domem Habsburgów.

W walkach między Maksymiljanem a Zygmuntem i zamek rabsztyński odegrał pewną rolę. Oto wówczas panem jego był głośny z męstwa Hołubek. Ten, gdy się dowiedział, że wojska Maksymiljana grasują po Polsce i że jeszcze nowe posiłki spieszą mu z Niemiec, urządził na te posiłki w Rabsztynie zasadzkę. Sam nie miał sił dostatecznych, aby pokonać liczniejszego wroga, lecz porozumiał się w tym celu dziły. Garść jego nielicznych żołnierzy oddawała się tak, jakby go nic a nic toczące się walki nie obchodziły. Garść jego nielicznych żołnierzy oddawała się pozornie codziennym zajęciom, będąc jednak na wszystko przygotowaną. Górnicy olkuscy pracowali pozornie, jak zwykle. Ale gdy Niemcy znaleźli się pomiędzy temi dwoma grupami, pracownicy Hołubka przemienili się momentalnie w dobrze uzbrojonych rycerzy, a i w rękach górników znalazła się natych-



Wnętrze ruin zamku rabsztyńskiego.

miast mordercza broń. Z dwóch stron wśród lesistej drogi zaatakowano Niemców, którzy, nie wiedząc, co się dzieje, rozprószyli się po lesie. Pierwszy wpadł w ręce Hołubka bogąty tabor niemiecki, gdyż przez las była dlań ucieczka niemożliwa. Rozprószonych żołnierzy wyławiali ludzie Hołubkowi, znający każdą ścieżynę w lesie, całemi masami. Ułatwiały im to piaski i kamienie okoliczne. Zaledwie nieliczni niedobitkowie zdołali się przedostać do Maksymiljana.



Ogólny widok ruin zamku w Rabsztynie.

Na pierwszym z naszych obrazków widzimy starą basztę zamku rabsztyńskiego. Jest to rodzaj wieży, z której zachowało się do ostatnich czasów część murów z otworami, przeznaczonemi do obrony. Drugi obrazek przedstawia wnętrze ruin, zaś trzeci widok zewnętrzny owej niegdyś silnej warowni.



MACIEK BZDURA GADA:

Z ludziami to nijak nie pokura. Ulituj się nad jednem, to zaraz inksi na ciebie psiocą, ześ ty się z tamtem powąchał, a o nich tyle dbas, co pies o siódmą nogę.

Wkiejsik sedem se przez wieś i zuźrałem, jak stary Pacyna prali powrozem swoją pasirbicę Margochę. Powiadam jem:

— Bójcie się Boga, ojciec, a toz poprzetrącacie w niej wszyćkie kiski i jakoze ona się potem przyda do roboty, abo inksego jenteresu.

— Głupiś, Maciek, — powiadają Pacyna. — A ja ci mówię na wyrozum, ze nie pchaj palca, gdzie nie potrza, bo się zaśmierdzi. Nie misaj się i ty do cudzych spraw, bo i tobie oberwać się może.

— Co to, to nie bardzo, bo przecie i ja mam siłę we wszyćkich częściach swego ciała. Ale nie o to chodzi, bo zwady z wami nie sukam, ino chciałbym wiedzieć, za co tak dzieuchę łoicie?

— Za co? — Pacyna na to. — Za co? No niby jak? Zreśtą jakby tu powiedzieć? Widźis, Maciuś, dziś juz są takie casy, ze cłek nawet sobie nie ufa. Jak ją dziś spierę, to wiem, ze jutro nie będzie się jej chciało zadnych beśtefrantów i nie będę jej musiał przed złodziejami ludzkiej cnoty pilnować. To jedno, a po drugie przecie sam widzis, ze Margochna, na psa urok, dzieucha jak łania. Cłek ta jesce nie stary, to go lada spodnica ciągnie, a moja juz podpruchniała. Do Margochy mnie ciągoty bierą, ze nijak się ani ognać. Latego tez od casu do casu ją przepucuję, to potem i ja sam ni mam do niej śmiałości i ona patrzy na mnie, jak na burego psa. Mam spokój w własnem sumieniu i ludzie mnie na języki nie wezmą, bo przecie widzą, jak i co jest.

— Filozof z was — powiadam ja — ale głupi filozof. Lepiejbyście sobie wsypali parę buków, a byłoby wszyćko w porządku.

Jescem do chałpy nie dosedł, a juz po całej wsi rozniesło się, ze ja się zaprzedałem dzieuchom, ze ich jenteresów bronię, a o inksych ludziach na świecie nie pomyślę, choć i inksi są przecie uciśnieni. Krzycą chłopy, krzycą baby zeniate i gdowy, krzycą kawaliry i wszyćko krzycy, a nawet i dzieuchy ci nie podarują, bo powiadają, że przecie ino jedną wzionęś pod siebie i za nią gębujes, a o inkse nie dbas. A próbuj się tak zajenteresować zasie jaką gdową lub panienką z drobnemi dziećmi, to cały świat na ciebie siędzie i jak na straśliwym smoku jeździł będzie.

Tak jest w życiu codziennem, tak i w świątecnej polityce. Napis, abo powidz, że stała sie krzywda urzędnikowi, to wsiędą zaraz na ciebie i robociarze, i rolniki, i rzemieślniki, i fabrykanty, i wszyćkiego rodzaju inksi ludzie i powiedzą, żeś się zaprzedał urzędnikom i ich jeno bronis. A jeśli stanies w obronie robotnika, to znowu wszyćkie inkse na ciebie wsiędą, żeś się jednej warstwie ludzi zaprzedał, a o inksych nie dbas. Nie myślą o tem, że temu się nogę składa, kto ją złamał, a nie temu, kto jej jesce ni ma złamanej, albo któremu się juz jako tako zrosła.

I słuśnie powiada przysłowie, ze jesce się ten nie urodził, ktoby kużdej dusycce dogodził, latego ja se tez nic z ludzkiego gadania nie robię, ale zawse będę brał w swoją obronę tego, kto będzie najbardziej przyciśniony. Wkiejsik wziąłem w obronę Margochę od Pacyny nie latego, że ma psiapara ładne ślipie, ino latego, że jej Pacyna bez powodu kiełbasy na pośladku powrozem malował, ale gdybym widział, że Margocha znęca się nad Pacyną i nie chce tak, jak chciałby Pacyna, to kto wi, cybym jej sam jaką lasicą nie przejechał, lub co najmniej kajsi gdziesi nie uscypnął. Bo powiadam, sprawiedliwość i posłuch na świecie być musą, a juz najgorsa jest rzec, jak baba chłopa nie słucha.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Hiszpanja II.

Do charakterystycznych widowisk u Hiszpanów należy walka byków. My, Polacy, którzy umiemy się litować nawet nad najdrobniejszem stworzeniem, nie moglibyśmy się bez obrzydzenia patrzyć na to, co w Hiszpanji uważają za zabawę ludową. Walka byków bywa tam uprawiana od wieków i może jeszcze wieki miną, nim ludzkie jakieś uczucia zapanują nad żądzą napawania się widokiem rozlewu krwi.



Ogłoszenie walki byków.

Już niektórzy królowie hiszpańscy z rodu Bourbonów, pochodzenia francuskiego, patrzyli na nie okiem niechętnem i starali się je z Hiszpanji wyrugować, nic to jednak nie pomogło; walki byków urządzano wbrew ich woli. Niechętny był dla walk tych Filip V, niechętną królowa Marja Krystyna, ale już późniejsze młode infantki hiszpańskie przesiąkły duchem narodowym i często oklaskiwały krwawe zapasy na arenie cyrkowej.

Słynne igrzyska hiszpańskie nie są czczą igraszką, bo nie są wybrykiem chwilowego upodobania, przelotnej, jednorazowej zachcianki. Żądza napawania się widokiem krwawych zapasów tkwi w krwi każdego Hiszpana. Ze świecą trudno byłoby znaleźć Hiszpana, któryby miał słowo potępienia dla walk byków.

Jak u nas przedstawienia cyrkowe, teatralne lub kinowe zapowiadają i szumnie reklamują afisze, porozlepiane po rogach ulic, tak samo w Hiszpanji mające nastąpić walki ogłaszają dużo wcześniej najróżnorodniejsze kolorowe afisze. Znajdują się na nich podobizny tych byków czworonożnych, które mają stać się ofiarą głupiej zabawy ludowej, jak i tych dwunożnych byków, którzy dla rozweselenia tłumu narażają częstokroć własne życie, aby zadać śmiertelny cios biednemu zwierzęciu.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie taki afisz. Jest na nim u góry portret głowy nieszczęsnego zwierzęcia, a w środku i u dołu podobizny dwóch słynnych zapaśników, którzy już zapewne niejedno stworzenie dla zabawy ludu życia pozbawili, a którzy również w zapowiadanych walkach mają wystąpić.

Już na długo przed rozpoczęciem krwawego przedstawienia galerje i loże, otaczające arenę, na której rozegrane zostaną krwawe zapasy, zapełniają szczelnie widzowie. Są tam magnaci, potentaci tego świata, którym nie brak pieniędzy na opłacenie drogiego wstępu, ale są i biedacy, którzy czasami rok cały muszą oszczędzać, aby się dostać na krwawe igrzyska. Są mężczyźni, zahartowani w walce z losem, ale są i niewiasty, które los konającego motyla o łzy przyprawić potrafi, ale które nie mają współczucia dla ginącego byka na arenie cyrkowej. Są dorośli, są i dzieci, które czuła mamusia w swej bezgranicznej głupocie za rączkę na owo krwawe widowisko prowadzi.

Galerje i loże zapełnione. Jakby na ironję odzywają się miłe tony muzyki, grającej najpierw wieniec melodyj narodowych, a potem tańce i pieśni wesołe.

Wrota, któremi ma wkroczyć szereg matadorów i ich pomocników tak zwanych „quadrilla" jeszcze szczelnie są zamknięte. Publiczność jednak nie może się nudzić, gdyż przyszła tu na zabawę, a nie na nudy. Słychać też wszędzie śmiechy, żarty, rozmowy, nawoływania, niekiedy sprzeczki o lepsze miejsce itp. Tłum zabawia się jak może i czeka cierpliwie, kiedy nadejdzie oznaczona godzina na rozpoczęcie widowiska. Ale niechby urządzający je spóźnili się choć parę minut, spokojny dotychczas tłum potrafi się tak wzburzyć, że gotów do nieobliczalnych czynów. Tłum szaleje wówczas i burzy się, jak tylko morze i czerń ludzka burzyć się potrafią.

Gdy odezwie się sygnał, zapowiadający rozpoczęcie widowiska, nastaje grobowa cisza, jakieś jakby nabożne skupienie. Wszyscy wlepiają oczy w zamkniętą jeszcze bramę, która wreszcie otwiera się, aby przepuścić gromadę „quadrilli". Wita ich huragan oklasków.

Po nich wchodzi na arenę urodziwy espade i jego towarzysze, świecący od złota i lśniący od szeleszczących jedwabi. Wreszcie herold otrzymuje symboliczny klucz od obory, w której przebywają niewinne ofiary krwawej zabawy. Herold na znak dziękczynienia przygina kolana rumaka przed przewodniczącym


Wjazd „quadrilli" na arenę.

i wypada cwałem z areny przez otwarte wrota, a torrero w oczekiwaniu byka wita uśmiechem znajomych i kłania się wielbicielom. Jest on elegantem w każdym calu. Ale kiedy drzwi od ciemnej obory rozewrą się i zatrzasną za bykiem, wtedy ten pozorny światowiec przemienia się momentalnie w zwykłego bydłobójcę. Krwawe i niebezpieczne rzemiosło usuwa na drugi plan ubieganie się za kształtną postawą i wykwintnym ruchem.

Najtrudniej wytrzymać pierwszy impet, toteż gdy byk ukaże się na arenie, ta opróżnia się momentalnie. Oszołomione słonecznym blaskiem zwierzę nie ma w kogo uderzyć. Lecz chwila ta nie trwa dłużej niż parę sekund. Na arenie zjawia się wojowniczy torrero, a wraz z nim ukazują się z powrotem „quadrilli". Czerwona płachta miga w powietrzu, której zadaniem jest podrażnienie byka.

Na dalszych naszych obrazkach widzimy wjazd „quadrilli" na arenę i pierwsze spotkanie torrera z bykiem.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Pierwsze spotkanie z bykiem.

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XX.

Dowiedziawszy się, że na wyspie Finy są nietylko niedźwiedzie, ale także tygrysy, Tartelett wpadł w rozpacz. Odtąd nie odważy się już nawet wyjść na świeże powietrze. A te potwory wcześniej czy później trafią też do ich domostwa. Ani na jedną sekundę człowiek nie może już być pewnym życia. Wobec tego profesor Tartelett żąda ni mniej ni więcej, jak wzniesienia wałów obronnych, palisad i murów, zabezpieczających drzewo Wilhelma przed dzikiemi zwierzętami. Jeśli się tego nie zrobi, to on oświadcza stanowczo, że dłużej tu pozostać nie może i bezzwłocznie pragnie wyspę tę opuścić.

— Ja również. — krótko odparł Godfrey.

Istotnie, warunki, wśród których żyli dotąd mieszkańcy wyspy Finy, straszliwie się pogorszyły. — Walczyć o schronienie i żywność było już dostatecznie ciężko dla ludzi, zgoła do tego nieprzyzwyczajonych; dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności wyszli z tej walki zwycięsko. Dostatecznie się też przygotowali, by stawić czoło zimie i innym przeciwnościom, ale do walki z dzikiemi zwierzętami nie posiadali środków i w razie napaści będą niemal bezbronni.

Łatwo więc zrozumieć, że położenie ich, wpierw już dostatecznie ciężkie i przykre, obecnie pogorszyło się wręcz fatalnie.

— Nie umiem sobie jednak wytłumaczyć — raz po raz powtarzał Godfrey — że przez cztery miesiące nie spotkaliśmy na wyspie ani jednego drapieżcy, a w ciągu ostatnich dwóch tygodni pojawił się niedźwiedź i tygrys... Co to wszystko ma znaczyć?

Oczywista, że trudno było znaleźć wyjaśnienie dla tego faktu, co jednak nie usuwało samego faktu.

Mimo wszystko, Godfrey nie tracił odwagi. Przeciwnie, w miarę mnożenia się przeciwności, potęgowały się jego siły i zimna krew. Wobec tego, że dzikie bestje zagrażały obecnie ich bezpieczeństwu, odrazu zaczął się zastanawiać nad zabezpieczeniem małej kolonji przed niepożądanemi odwiedzinami.

Co jednak zrobić należy?

Przedewszystkiem postanowiono ograniczyć wycieczki na wybrzeże do najkonieczniejszych, a wogóle nie opuszczać domostwa bez broni.

— Z dwóch tych przygód wyszliśmy nieźle — mówił Godfrey — kto nam jednak zaręczy, że i za trzecim razem uda nam się tak samo? Bez koniecznej potrzeby niema tedy powodu narażać się na niebezpieczeństwo!

Jednakowoż ograniczenie wycieczek nie było wystarczającem zabepieczeniem; należało pomyśleć o ufortyfikowaniu w ten, czy inny sposób, nietylko domostwa, lecz także kurnika, oraz zagrodzonego miejsca, gdzie skupiały się zwierzęta domowe. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że drapieżce nie będą zwlekać z napaścią, a wtedy zapóźno byłoby myśleć o środkach obronnych.

Wzniesienie wałów i fortec podług planu Tarteletta, było niepodobieństwem. To też Godfrey zastanawiał się, jakby w miarę możności zabezpieczyć kolonję i doszedł do przekonania, że najłatwiej będzie wznieść bardzo wysoki parkan dokoła grupy drzew-olbrzymów i w tym obrębie pomieścić także zwierzęta domowe.

Wzniesienie takiej palisady na przestrzeni co najmniej 300 stóp kwadratowych, wymagało wprawdzie olbrzymiego nakładu pracy, ale ostatecznie nie było wykonalnem. Trzeba będzie ściąć ogromną ilość drzew, przytransportować je i z nich zrobić silny, wysoki, parkan, którego dzikie zwierzęta nie potrafią ani obalić, ani przeskoczyć.

Godfrey nie cofał się przed żadnym trudem, — a Tartelett, wysłuchawszy jego projektu, nietylko go uznał, lecz nawet przyrzekł czynną pomoc, która — prawdę mówiąc — na niewiele się mogła przydać. Ważniejszem było, że Karefinotu, zawsze chętny do pracy, dość szybko pojął, o co się rozchodzi.

Bezzwłocznie zabrano się do roboty.

W odległości jakiej mili od drzewa Wilhelma, nad brzegiem strumienia, wznosiła się grupa jodeł, średnio wysokich, których pnie, wbijane jeden obok drugiego, mogły utworzyć silną palisadę.

Tam w dniu 12 listopada, wczesnym rankiem, wyruszył Godfrey ze swymi towarzyszami, uzbrojonymi po zęby. Mimo to posuwali się naprzód z największą ostrożnością.

— Nie mogę powiedzieć, by takie wyprawy należały do bardzo przyjemnych — mruczał Tartelett. Gdyby odemnie zależało, to uciekłbym stąd odrazu, choćby na koniec świata!

Godfrey nie zadał sobie nawet trudu odpowiadania na tego rodzaju niedorzeczną gadaninę. Tym ra-

zem nikt się nie troszczył o upodobania pana Tarteletta, a żądano jedynie pomocy jego muszkułów, które niezbyt się nadawały do ciężkiej pracy.

Bez żadnej przygody odbyli marsz jednomilowy, dzielący drzewo Wilhelma od owej grupy jodeł, — a jakkolwiek rozglądali się po całem otoczeniu, to jednak, ani w zaroślach, ani na łące, nie odkryli nic podejrzanego. Tak samo zwierzęta, pozostawione na pastwisku, nie zdradzały żadnego zaniepokojenia.

Zaraz nazajutrz zaczęto wbijać pale...

Nie tracąc czasu, zabrano się do roboty. Godfrey postanowił przedewszystkiem ściąć potrzebną ilość drzew i odstawić je na miejsce przeznaczenia, rozumując całkiem słusznie, że bezpieczniej będzie je obrabiać w pobliżu domostwa.

Najcięższą część pracy spełniał Karefinotu, doskonale umiejący się obchodzić z toporem i piłą. Ogromna jego siła fizyczna pozwalała mu pracować bez wytchnienia, gdy Godfrey musiał od czasu do czasu odsapnąć, a Tartelett cały oblany potem, w podrapanych rękach miał zaledwie tyle sił, by od biedy utrzymać w nich skrzypce.

Nieszczęsnemu mistrzowi tańców i salonowych ruchów, który oto stał się drwalem, Godfrey poruczył pracę najlżejszą: karczowanie małych drzewek, ale nawet z tą lekką robotą nie bardzo sobie biedny Tartelett dawał radę.

Przez sześć dni, od 12—17 listopada pracowano niemal bez wytchnienia. Przystępowano do roboty wczesnym rankiem, a po krótkiej przerwie dla spożycia posiłku znów się zabierano do pracy, która ustawała dopiero wieczorem, gdy trzeba było wracać na wieczerzę do domostwa. Pogoda wcale im nie sprzyjała. Niebo było przeważnie pochmurne i często mżył zimny drobny deszcz; chwilami lało też jak z cebra, a wtedy nasi drwale zmuszeni byli chronić się pod drzewa, by z chwilą zmniejszenia się deszczu, znów podjąć pracę.

Ośmnastego listopada jodły poobcinane z gałęzi leżały na ziemi i należało je teraz przetransportować do drzewa Wilhelma. Przez cały ten czas, ani nad strumieniem, ani na skraju lasu, nie pojawiło się żadne dzikie zwierzę. Niepodobna wszak przypuszczać, by ów niedźwiedź, a następnie tygrys, były jedynymi i ostatnimi przedstawicielami swego gatunku i że obecnie wyspa Finy jest już całkiem wolna od drapieżców.

Tak, czy owak, Godfrey ani na chwilę nie miał zamiaru poniechania pracy rozpoczętej. Palisada będzie jednak pewnem zabezpieczeniem zarówno przed ludożercami, jak również przed łapami niedźwiedzi lub tygrysów. Przytem najcięższa praca była już dokonaną — teraz chodzi tylko o przetransportowanie drzewa, które będą już mogli obrabiać w pobliżu domostwa.

Co prawda, to transport drzew był niemniej uciążliwym od ścinania. Na szczęście Godfrey wpadł na pomysł, mający im zaoszczędzić bardzo wiele pracy i znacznie przyspieszyć jej wykonanie. Wskutek długotrwałych deszczów, strumień wezbrał i wartkim prądem płynął ku morzu. Otóż sporządziwszy z Karefinotem małe promy, mężczyźni naładowali na nie pnie sosen i skierowali je ku grupie drzew-olbrzymów. Tu, w odległości jakich 25 kroków od drzewa Wilhelma sporządzili tamy, które zatrzymywały dalszy bieg owych galarów.

To ogromne uproszczenie pracy najbardziej uradowało zacnego profesora, potwierdzając jego poglądy o wyższości człowieka inteligentnego, no i zaoszczędzając mu ciężkiej pracy.

Ośmnastego listopada sporządzono pierwsze promy, które bez żadnej przeszkody dopłynęły tam. — W ciągu trzech dni wszystkie sosny wyładowano i przywleczono na miejsce ich przeznaczenia. Zaraz nazajutrz zaczęto wbijać pale, które połączone silną plecionką z gibkich gałęzi utworzyć miały rodzaj palisady dokoła całej grupy drzew olbrzymów.

Z ogromnem zadowoleniem śledził Godfrey postępy pracy, dbając o jej najszybsze ukończenie.

— Niech tylko palisada będzie gotowa, a możemy się czuć jak w domu — rzekł do Tarteletta.

— Co to, to nie — odparł profesor. — W domu będziemy się dopiero czuć po powrocie do pałacu Kolderup!

Pod tym względem zacny profesor miał rację i nikt mu jej też nie odmawiał.

Dnia 26 listopada palisada była w trzech czwartych gotowa. Łącząc kilka drzew-olbrzymów, obejmowała także to, w którem mieścił się kurnik. Godfrey zamierzył go przeobrazić w stajnię, a dla drobiu inne znaleźć pomieszczenie.

W ciągu trzech najbliższych dni ukończą palisadę, a wtedy pozostanie już tylko zamknąć ją na silną bramę, by czuć się bezpiecznym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O wierzcie mi bracia.

O wierzcie mi bracia, że miną niedługo
Chwile, co były nam wiekiem
I człek człekowi już nie będzie sługą,
Lecz tylko wolnym człowiekiem...

Wierzcie, że słońce zaświeci nareszcie
Tam, gdzie dziś mroki i cienie
Rozpościerają swe skrzydła złowieszcze
Na życia smutnej arenie...

Wierzcie, że minie ta krzywda bolesna,
Która się gnieździ wśród ludzi.
Wierzcie, że przyjdzie tu na ziemię wiosna,
Która w nas radość obudzi...

O wierzcie, bracia moi, bowiem tylko wiara,
Jest lepszej doli zwiastunką
A nasza praca, choć taka szara,
Jest lepszej doli zwiastunką.

Bogdan Jeżowski.



Serce mężczyzny.

I.

Zaczęło się to wszystko od zmiany mieszkania, kiedy przeniosłem się z Gołębiej na Starowiślną... Zamieszkałem u wdowy po jakimś mistrzu kominiarskim, zresztą pozatem całkiem sympatycznej, miłej i inteligentnej kobieciny. Dostałem mały pokoik z oknami na ulicę, umeblowany skromnie starymi, antycznymi meblami, które zawsze lubiłem, gdyż przypominały mi kochany domek rodzinny, pozostawiony w dalekiej, skalnej ziemi Podhala. Obok mnie, w sąsiednim pokoiku mieszkały dwie studentki uniwersytetu, jedna niezwykle żywa dziewczyna, urodzona kokietka, piękna, o złotych włosach i czarnych oczach blondynka, druga cicha, spokojna, zawsze smutna i dziwnie melancholijnie usposobiona, o marzycielskich, zamyślonych, szarych oczach brunetka... Pierwszej na imię było Cecylja, drugiej Zofja.

U gosposi mojej mieszkały już przeszło rok, a opinję u niej miały taką:

„Cesia za dużo przewraca oczkami, gdy zobaczy jakiegoś mężczyznę, kocha się w każdym z nich, po kolei od każdego się odsuwa... Pozatem jest w słowie i uczynku ogromnie niestała — i (w tem miejscu moja gospodyni spuściła skromnie oczy i mocno się zarumieniła, a potem długo i natarczywie wpatrzyła się w moje oczy...) jest bezwstydna, zepsuta dziewczyna. Niech się pan strzeże — mówiła mi — tej dziewczyny, niech się pan nie patrzy w jej oczy, bo rzucają urok, a potem się żałuje mocno tego wszystkiego... Zosia natomiast, to smutne zawsze, dziwnie milczące dziewczę. Ale złote ma serduszko, mówię panu, złote ma serduszko!... Tylko, że w ukryciu za często płacze, a nigdy prawie się nie śmieje... Aha... i jest poetką, prześliczne — mówię panu — prześliczne pisze wiersze. Ah, te wiersze! — rozczulała się moja nowa gospodyni — takie smutne, a piękne w swym smutku!... Tak! Zocha jest dobrem dziewczęciem, ale jest chora biedaczka na gruźlicę! W niej mógłby się pan kochać po uszy, gdyby tylko, gdyby tylko była zdrową...

— Eh, wie pani, co do kochania, to głupstwo! — Jestem bardzo, a bardzo obojętny co do kobiet... Nie lubię tych „maminych pieszczot" — zakończyłem naszą rozmowę i odszedłem do mojego pokoiku.

— — — — — — — — — — — —

Płynęły dnie spędzane na nauce, to na błądzeniu bezmyślnem po plantach, to wreszcie na „herbatkach" u koleżanek i kolegów.

I z mojemi sąsiadkami się powoli zapoznałem. Wejście do ich pokoju prowadziło przez mój pokoik i to było całe moje nieszczęście. Nie miałem nigdy ciszy, nie miałem nigdy spokoju... Ciągłe pukanie do drzwi, ciągłe ich odmykanie i zamykanie denerwowało mnie niemożliwie... Zośka mało kiedy wychodziła. Za to Cyla biegała ciągle na miasto i z powrotem, wieczorami przychodziła bardzo późno, odprowadzana zawsze pod same drzwi przez swych wielbicieli... Gdy Cyla przechodziła przez mój pokój, robiła to zawsze ordynarnie, wyzywająco... Strzelała zalotnie oczami w moją stronę, biła i szurowała obcasami po podłodze... poprostu rozpychała się koza. Zośka natomiast przesuwała się cicho, delikatnie, prawie niespostrzeżenie, szepcząc zawsze słabym, matowym głosikiem: „...przepraszam bardzo..." I do tej to cichej, spokojnej Zośki poczułem odrazu jakąś mocną sympatję, a Cylę, mimo jej urody, znienawidziłem do bezgranic...

Poznałem odrazu także, że Zośka mnie lubi, lgnie do mnie, poznawszy we mnie bratnią duszę i cichego przyjaciela, natomiast Cyla nienawidzi...

Kiedyś wieczorem, siedząc cicho w moim pokoiku usłyszałem rozrowę o mnie. Cyla wyśmiewała się ze mnie, a Zośka mnie cichym głosem broniła. Potem posłyszałem cichy szloch... Wiem! Wiem! To Zosienka, biedna chora Zosienka, nie mogąc mnie obronić swą słabą, chorą piersią, płakała pokrzywdzona... Od tego dnia, od tego wieczoru kochałem już całem sercem smutną studentkę-poetkę zza ściany i w jej szare, marzycielskie oczka jeno, więcej w nic, byłem zapatrzony...

Gdy Cyla wychodziła z domu, Zosienka przychodziła do mnie. Siadywaliśmy na starej otomanie, tuż obok siebie... Zośka odczytywała mi swoje wiersze, a ja słuchałem w skupieniu. Czasem prosiła mnie, bym grał „coś smutnego" na cytrze, więc grałem... Była coraz bledszą, z każdym dniem smutniejszą i coraz częściej pokasływała. Patrzyłem z trwogą serca na nią i widziałem zupełnie jasno, że światło jej życia gaśnie, że szczęście, moje jedyne szczęście ginie, ucieka mi z przed oczu i stacza się w otchłań Niepowrotu...

— Dlaczego, dlaczego — mówiła mi nieraz, ujmując mnie lekko za rękę — dlaczego przyszedłeś tak okropnie późno, mój Piotrze!... Dlaczego teraz, gdy ja już oddalam się od życia, gdy nie mogę już więdnącemi ustami dotknąć tych zdrowych, tryskających gorącą krwią młodzieńczych ust!... Dlaczego?... Dlaczego, drogi Piotrusiu, ja nie mam prawa do życia, do radości, kiedy mają to prawo nawet jeszcze starzy, zgrzybiali już starcy, zupełnie niepotrzebni światu? Tyle kalek, tyle ułomnych, a żyją, a ja młoda muszę umierać! A cóż po tamtych Ojczyźnie, ludzkości, rodzinie lub choćby jednemu człowiekowi?... Nic!... A ze mnie? Pewnie także nic, kiedy muszę umierać... Moich wierszy nikt nie czytał, bo nie chcieli drukować, więc nikomu tutaj nie byłam potrzebną... Pewnie, pewnie... Może i lepiej, że odchodzę... Prawda, Piotrze, lepiej, że odejdę w niepamięć?...

Zachodziły jej cudne, szare oczka mgłą i łzy w nich perliste stawały dużemi kroplami...

Widzą tą straszną marność życia ludzkiego, boleść ogromna wrzynała się w moje serce... Żal mi było tego życia biednego dziewczęcia, żal mi było bezgranicznie Zosi, którą sercem i duszą pokochałem, a która sercem i duszą należała do mnie, a ciałem biednem, chorem, więdnącem ciałem była odemnie daleko, daleko...

Pocieszałem ją wtedy, jak tylko mogłem, sam zupełnie nie wierząc we własne słowa pociechy.. Jedno tylko miałem niezłomne postanowienie:

— Jeśli mi ty odejdziesz Zosienku, ja pójdę, pójdę z tobą...

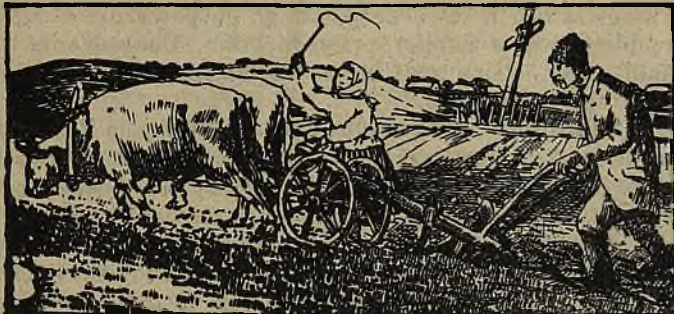
Bo jakiż sens miało życie dla mnie bez niej?

...I mimo, że mi Zośka nie pozwalała dotykać siebie, obawiając się, bym się nie zaraził, tuliłem moje dziewczątko do piersi i całowałem, długo całowałem jego wyschnięte, suche rączki, więdnące usteczka

i na zawsze już gasnące oczka... Było mi obcem: „zarażę się, czy nie zarażę?“, jeśli ona miała mi umierać, chciałem umierać razem z nią. Cieszyłem się, że mnie pożre to samo robactwo, co ją, z niej na mnie przeniesione, że moje płuca niszczyć będą zarazki z jej płuc...

I Zosia zczasem sama zgodziła się na to, a przynajmniej już nie protestowała, gdy ją brałem w drżące ramiona...

Ciąg dalszy nastąpi.



Poradnik gospodarczy.

Tomasówka i jej znaczenie w rolnictwie.

Tomasówka powstaje przy wyrobie stali, a nosi swą nazwę od inż. Thomasa, który w roku 1879 odnalazł sposób odfosforyzowania rud stalowych. Przy tej procedurze powstają żużle, które zmielone zwiemy tomasyną. Nazwa tego nawozu stała się w tak krótkim czasie popularną, że stwierdzić należy, iż mało jest rolników, którzy sobie uprzytamniają, jakie znaczenie wywarła tomasówka pod względem rentowności i postępu w rolnictwie.

Nie od rzeczy więc będzie zwrócić uwagę czytelnika na kilka momentów, które nauka jak i powstałe recenzje praktyki postawiły dziś jako niezbite prawdy. Błędnie informowano przed wojną, że tomasówkę trzeba tak wcześnie jak tylko możliwe z ziemią zmieszać, ażeby przez glebę była przeprowadzona w formę przyswajalną dla roślin. Nowsze pojęcia tak naukowe jak i praktyczne przeczą tym poglądom.

Kwas fosforowy znajduje się w tomasówce w tak luźnym związku, że drobina kwasu fosforowego tomasyny nawet bardzo słabym chemicznym wpływom (kwasy korzeni) nie może stawić oporu.

Kwas próchnicowy roli, jak również lekkie kwasy korzeni roślin, nawet kwasem węglowym przepojona woda, przeprowadza fosfor w stan rozpuszczalny w wodzie, t. j. jaki jest w superfosfacie. (Passon: „Tomasówka, jej chemja i historja“).

A więc na rozpuszczalność kwasu fosforowego tomasyny działać może w roli dużo czynników, które ją czynią nadzwyczaj łatwo przyswajalną dla roślin.

Na wszystkich gruntach działa tomasyna conajmniej równie dobrze jak inne nawozy fosforowe, o ile umieścimy ją w pobliżu korzeni roślin. Czas wysiewu jest bez wpływu, bo tomasyna nie przechodzi fazy przekształcenia i jest w roli rozpuszczalna i dla roślin przyswajalna.

Resumpcje badań naukowych i praktycznych ostatnich lat streszczają się w tych słowach:

„Obecnie ulepszony system fabrykacji tomasyny (bardzo drobno zmielona) przyczynia się, że tomasyna może być o każdej porze, na każdym gruncie i pod każdą roślinę z równie dobrym skutkiem użyta. Działa ona natychmiast. Różnice działań między fosforem tomasyny a superfosfatu wyrównały się w ostatnich latach doszczętnie, — decyduje cena. (Ostatnie patrz: Prof. Dr Niklewski, dalej Lemmermann, Wolff, Wagner, Stutzer, Heinrich i cały szereg innych mężów nauki).

Mimo, że tomasówka jest najmłodszym nawozem fosforowym, zdołała sobie wyrobić rekordowe stanowisko i uznanie u rolnictwa całego świata. Przypisać to należy zaletom, jakich nie posiadają starsze od niej nawozy fosforowe, jak superfosfat, mąka kostna itd.

Zawsze znacznie tańsza cena, nadzwyczaj drobne i staranne zmielenie, gwarantowana czystość, należyte opakowanie, a co największej wspaniała działalność i skuteczność tomasówki na wszystkich gruntach pod wszelkie płody rolne oraz wysoki procent (40—60%) skutecznego wapna, to zalety, które musiały wyrobić jej pierwszorzędne miejsce między nawozami fosforowemi.

Nic więc dziwnego, że w krajach, mogących wytwarzać poszczególne nawozy fosforowe w równej ilości, tomasówkę produkuje się w największym stosunku. Rolnicy darzą ją bowiem największem zaufaniem, co wynika najlepiej z tego, że ogólny procent użycia tomasówki przewyższa znacznie inne gatunki nawozów fosforowych.

Najnowsze badania nauki i praktyki wykazały, że kwas fosforowy tomasówki jest natychmiast dla roślin przyswajalny, że kwas ten działa bez najmniejszych strat w roli i nie zmienia swej wartości użytkowej nawet przez kilka lat.

Szeroko znane działanie jej w latach następczych stawia tomasynę w szeregu fosforowych nawozów na najprzedniejszem miejscu.

Prof. Maercker stwierdza, że działanie następcze w 2% kwasie cytrynowym rozpuszczalnego kwasu fosforowego tomasyny jest wybitne i jaskrawo lepsze niż kwasu fosforowego rozpuszczalnego w wodzie.

Wysoka zawartość tlenku wapna nietylko, że przeciwdziała wytwarzaniu się kwasów roli, ale poprawia stan zakwaszonych gruntów.

Wobec powyższych tak w oczy bijących zalet dobrej tomasyny, a znacznie niższej jej ceny od innych nawozów fosforowych, jawnem jest, że rolnik nie stosujący jej na swych gruntach okrada w pierwszym stopniu swą własną kieszeń.

Poradnik lekarski.

Zaziębienie. Przedewszystkiem należy pobudzić zatamowaną czynność gruczołów potnych i zaraz z początku okryć się i pić herbatę: z bzu, lipy, rumianku.

Zapalenie nerek. Przyczyny: płonica, reumatyzm, choroba serca, przeziębienie, kamienie nerkowe, uderzenie, nadużycie pewnych środków leczniczych. Objawy: dreszcze, gorączka, bóle w okolicy nerek, nudności, parcie na mocz, wreszcie ogólne zatrucie t. zw. uremja.

Leczenie: Należy unikać przeziębienia, w ostrych wypadkach należy pozostać w łóżku, ubierać się ciepło i unikać nadmiernych wysiłków fizycznych, dalekich wycieczek. Unikać: kawy, herbaty, potraw ostrych, korzennych, alkoholu. Pić jaknajwięcej mleka, innych płynów bardzo mało, ponieważ drażnią nerki, djeta wyłącznie roślinna i nabiałowa. Po zaziębieniu, gdy grozi zapalenie, pić herbatę z bzu, lipy, mięty, gdy jest już parcie na mocz, pić herbatkę z borówek.

KRONIKA.

Zmiana rządu w Polsce. Zmiana, nie zmiana, bo nie wiele się zmieniło; ustąpił tylko prezydent ministrów p. Walery Sławek, a miejsce jego zajął dotyczasowy minister przemysłu i handlu p. Aleksander Prystor. W miejsce p. Prystora ministrem przemysłu i handlu został zamianowany generał Ferdynand Zarzycki. Że p. Sławek ustąpi a premjerowstwo obejmie p. Prystor, od dłuższego czasu już przewidywano, ale że ustąpi również minister skarbu, p Matuszewski, tego się nie spodziewano. A jednak tak się stało: p. Matuszewski nie wszedł do nowego rządu, a miejsce jego, jako minister skarbu, zajął brat Marszałka, poseł Jan Piłsudski. Wszyscy inni ministrowie pozostali nadal na swych dotychczasowych stanowiskach. Wynika z tego, że kierunek rządu nie zmieni się zupełnie, gdyż p. Sławek ustąpił tylko z powodu przemęczenia, a p. Matuszewski z powodu obniżki płac dla wojskowych, czego podobno nie życzył sobie Marszałek Piłsudski.

Awantury pijanych parobków. W Zabierzowie koło Krakowa wywołało niesłychaną awanturę wśród spokojnych mieszkańców pięciu pijanych parobków z Balic, którzy rzucili się na Bogu ducha winnych przechodniów, okładając ich pięściami. Powstała niezwykła panika i zamieszanie, z czego skorzystali tylko podochoceni parobcy, którzy wyrwawszy koły z płotów, poczęli demolować ogrodzenia wokół budynków. Zaalarmowano policję, która, przybywszy na miejsce, zlikwidowała zajście i wszystkich pięciu awanturników odstawiła do dyspozycji sądu okręgowego karnego w Krakowie. Gdyby nie interwencja policji, tłum byłby zlinczował napastników. Dwóch z nich Jana Wlazlę i Stefana Gajewskiego tłum pobił.

Katastrofa na Wiśle. Wstrząsająca katastrofa wydarzyła się w ubiegłym tygodniu na Wiśle w pobliżu Sandomierza nawprost miasteczka Nowy Tursk. Wielka berlinka, którą przeprawiały się przez rzekę na brzeg sandomierski 32 osoby, poszła na dno, przyczem 11 osób poniosło śmierć. Szczegóły katastrofy są następujące: Około godz. 8 wieczór na brzegu Wisły naprost Nowego Turska zgromadziło się 32 robotników i robotnic, zamieszkałych w tem miasteczku, a zajętych stale wycinaniem wikliny nad brzegiem rzeki. Codziennie przeprawiali się oni z Nowego Turska na miejsce pracy wielką berlinką, kierowaną przez przewoźnika, Pisarskiego. Wieczorem Pisarski znów przyjeżdżał po nich. Berlinka mogła pomieścić maksymalnie 25 osób. Tymczasem Pisarski, któremu spieszyło się przed świętami do domu, nie chcąc nawracać jeszcze raz zezwolił, wbrew przepisom wsiąść wszystkim zebranym do łodzi. Łódź, zbyt przeciążona, zanurzyła się niemal po burty i zaraz po odbiciu od brzegu poszła na dno. Wszyscy pasażerowie skryli się pod wodą. Wisła w tem miejscu jest bardzo głęboka, przyczem brzeg jest stromy. Świadkowie tej katastrofy, oczekujący na brzegu, rzucili się na ratunek. Na miejscu katastrofy pojawiło się wkrótce kilka czółen, na które poczęto wydobywać tonących. Z 32 osób, znajdujących się na zatopionej berlince, zdołano wyratować tylko 21. 11 osób utonęło. Na brzegu zebrała się wkrótce cała niemal ludność miasteczka. Przy blaskach pochodni całą noc trwało poszukiwanie zwłok. Zdołano wydobyć jedynie ciała 9 ofiar, zwłok zaś 2 dalszych ofiar nie wydobyto. Przewoźnika Kazimierza Pisarskiego, który ponosi winę katastrofy, aresztowano.

Pożary. W Posadowej (pow. Grybów) zniszczył pożar zabudowania J. Stawiarskiego wyrządzając szkodę przeszło 4.000 zł. W czasie pożaru wszedł do płonącego domu niezauważony przez nikogo 4-letni syn Stawiarskiego, idąc za matką, która wynosiła rzeczy. Chłopiec poniósł śmierć w płomieniach. — W Morawicy (pow. Kraków) zniszczył pożar zabudowania Józefa Kaduli i Franciszka Reidera. Szkoda wynosi 6.100 zł. Przyczyny pożaru nieznane.

Krwawa zabawa w Dębicy. W niedzielę 24 maja po południu na Zabawie w Dębicy doszło do sporu między Mieczysławem Pietruszewskim a żołnierzami, w trakcie czego wywiązała się bójka. Podczas awantury wachmistrz Ciębora z 20 pułku uł. strzelił do Pietruszewskiego z rewolweru, raniąc go poważnie w klatkę piersiową w okolicy prawego boku. Dochodzenia ustaliły, że Ciębora użył broni we własnej obronie. Rannego opatrzył lekarz.

Szaleniec w samochodzie. Z Przemyśla donoszą: Jedna z ulic jarosławskich była około północy widownią niezwykłego zajścia. W pewnym momencie bowiem zatrzymał się na tej ulicy samochód, kierowany przez szofera, podczas gdy między dwoma pasażerami, którzy zajmowali tylne siedzenia, toczyła się gwałtowna walka. Jeden z nich, jak się później okazało, technik-dentysta Adolf Münzer ze Lwowa, dostał nagle ataku szału. Szaleńca, który jechał w towarzystwie ojca, po wielkich wysiłkach zdołano sprowadzić na policję, gdzie mu też nałożono kajdanki na ręce, gdyż nieszczęśliwy silnie zagrażał otoczeniu. Można sobie jednak wyobrazić przerażenie osób towarzyszących temuż warjatowi, kiedy tenże niespodzianie rozerwał kajdanki i chciał się rzucić na eskortę. Dopiero odpowiednia injekcja uspokoiła szaleńca o tyle, że można mu było nałożyć kaftan bezpieczeństwa, poczem następnego dnia rano wyjechał w towarzystwie ojca samochodem z Jarosławia przez Przemyśl do Lwowa. Ojciec jest tam właścicielem składu mebli i dopiero w przededniu nieszczęścia wyjechał za nim wspomniany syn Adolf, który, przybywszy do Krakowa, zaczął zdradzać objawy choroby umysłowej. Zaniepokojony ojciec postanowił więc niezwłocznie powrócić autem do Lwowa. Ale już w Rzeszowie szał syna przybrał takie rozmiary, że podróż musiano przerwać i zawezwać pomocy lekarza, który nieszczęśliwemu dentyście zaaplikował środki uśmierzające.

Kły mamuta w rzece. Z Przemyśla donoszą: We wsi Walawie pod Przemyślem robotnicy, wydobywający szuter ze Sanu, natrafili na zęby kłowe i trzonowe mamutów, które sterczały w wodzie, blisko brzegu. Nie umiejąc przeprowadzić umiejętnie wykopalisk, wyciągali je rękami, a następnie przynieśli do Przemyśla w celu ich spieniężenia. Dzięki interwencji starosty udało się pozyskać wspomniane zęby inż. Kazimierzowi Osińskiemu dla Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej. Wobec relacji robotników Antoniego Lupaka i Stefana Żołhuna, którzy wydobyli te zęby, prawdopodobnie głębiej będą kości całego mamuta. Oprócz wspomnianych zębów, robotnicy znaleźli rogi jelenia dyluwjalnego i inne kości.

Kara śmierci. We Lwowie sąd karny skazał Józefa Szumowskiego za zamordowanie swego wuja Biłego na karę śmierci, zaś pomocników Szumowskiego Franciszka Czuchnowskiego na 6 lat i Wasyla Szumowskiego na 4 lata ciężkiego więzienia.

Straszna zbrodnia wyrodnego syna. Z Torek w pow. mościskim donoszą, że tamtejsza włościanka 47-letnia wdowa Pazia Hureczko padła ofiarą morderstwa i to z rąk własnego syna Iwana. Widownią tej krwawej zbrodni była stodoła, gdzie pomiędzy matką, która wkrótce miała znów wyjść zamąż, a potwornym synem rozegrała się gwałtowna walka. Kiedy wreszcie matka, ugodzona kilkakrotnie jakiemś ostrem narzędziem w głowę, padła bez życia, morderca Iwan podniósł trupa i wydostawszy się po drabinie na dość znaczną wy-

sokość, zrzucił zwłoki głową na dół na tak zw. boisko, na którem wymłóca się ziarno. W ten sposób chciał upozorować samobójstwo. Dowody jednak, przemawiające za winą Iwana, były tak silne, że tenże już po krótkotrwałych wykrętach przyznał się do popełnienia tego potwornego morderstwa. Wyrodny zbrodniarz nie odczuwa żadnej skruchy, twierdząc, że matka go skrzywdziła i zamierzała obecnie jeszcze więcej skrzywdzić, bo gdyby wyszła zamąż, to onby wyszedł z pustemi rękami, gdyż cały majątek byłby się dostał ojczymowi. Bestjalska ta zbrodnia matkobójstwa wywołała wstrząsające wrażenie. Zbrodniczy syn stanie już wkrótce przed przemyskim sądem przysięgłych.

Zbrojny najazd w Przedzielnicy. Wieś Przedzielnica w powiecie dobromilskim była w czasie Zielonych Świąt widownią zbrojnego najazdu rodziny Burków na obejście rodziny Kubczaków. Burkowie uzbrojeni w rewolwery, wtargnęli o północy na podwórze domu Kubczaków i rozpoczęli strzeloninę, w kierunku domu mieszkalnego. Zaalarmowana strzałami ludność wsi zbiegła się na miejsce, dopomagając policji do ubezwładnienia napastników. Obaj przywódcy najazdu Piotr i Waszko Burkowie zostali aresztowani.

Wędrówka zwłok samobójcy. Przed paru tygodniami w lasach pod Zawierciem powiesił się bezrobotny Jan Cholewka. Rodzina pochowała zwłoki na cmentarzu w Gromołowie. Po kilku dniach zwłoki zostały przez kogoś wykopane i pochowane na cmentarzu we wsi Żerkowice, pow. olkuski. W ciągu następnych dni zwłoki Cholewki wędrowały po wszystkich cmentarzach na terenie dwóch powiatów i kilkakrotnie były chowane w różnych wsiach. Wreszcie onegdaj znaleziono zwłoki zakopane w lesie gołuchockim. Jak się okazało, zabobonna ludność wiejska, przekonana, że zwłoki samobójcy, pochowane na miejscu poświęconem, sprowadzają na wieś klęskę, przenosiła zwłoki nocą na inne cmentarze. Podczas swej wędrówki trup został pozbawiony rąk i nóg, gdyż przenoszono go w worku. Policja zajęła się odszukaniem sprawców profanacji zwłok.

Ogólnopolski zjazd szewców. W końcu czerwca odbędzie się w Łodzi ogólno polski zjazd szewców, którzy od dłuższego czasu również przeżywają kryzys z powodu zastoju i zubożenia ludności. Zjazd zajmie się w pierwszym rzędzie konkurencją zagranicznych fabryk obuwa, dalej ma zająć stanowisko w sprawie obowiązujących taryf na skóry zagraniczne, jak również omówić kwestję eksportowania polskiego obuwia na rynki zagraniczne.

Ucieczka przed spódniczką. Widownią niezwykłego zajścia była jedna z prywatnych bożnic na Nalewkach w Warszawie w pierszym dniu żydowskich Zielonych Świątek. Do bóżnicy tej przybył m. in. solidny kupiec Szaja Rojal, właściciel składu win i delikatesów przy ul. Zamenhoffa 17. Dowiedziała się o tem jego dawna przyjaciółka, Gołda Ada, która utrzymuje, że Rojal winien dawać na utrzymanie jej synka, jako jego ojciec, choć Rojal jest innego zdania. Na tem tle też dochodziło do częstych konfliktów, z których jeden przypieczętowało nawet cztery miesiące więzienia, wymierzone Gołdzie przez sąd grodzki za zakłócenie spokoju publicznego. Porzucona przyjaciółka nie dała jednak za wygraną. Postanowiła zażądać raz jeszcze pieniędzy na utrzymanie synka. Wybrała się więc w ślad za Rojalem do domu modlitwy. Nie chciano jej wpuścić. Ale Gołda wyrwała się zatrzymującemu ją szamesowi, w którego rękach pozostała tylko jej sukienka, i w bieliznie wtargnęła do środka. Przyskoczyła do Rojala i zaczęła krzyczeć, grożąc mu pięścią, aby dał pieniądze na dziecko! Na widok roznegliżowanej damy, hałasującej po sali w powiewnej, pomarańczowej haleczce w bożnicy powstała panika. Obecni rzucili się do ucieczki, przepisy bowiem powiadają, że gdy do bóżnicy wtargnie w czasie modłów kobieta, dom modlitwy jest trefny i trzeba go jak najprędzej opuścić. Awanturnicę aresztowano. Rojal skutkiem tego zajścia osiwiał jak gołąb.

Ośm strzałów do ojca. W Warszawie rozegrał się onegdaj w godzinach przedpołudniowych na wybrzeżu gdańskiem, nad Wisłą, oburzający fakt, świadczący o niebywałem wprost zezwierzęceniu niejakiego Aleksandra Brzezińskiego. Brzeziński od paru lat żywił do ojca swego, Wiktora, tajemnicze pretensje. Między ojcem i synem ustawicznie dochodziło do awantur i bijatyk, które niejednokrotnie kończyły się rozlewem krwi. Onegdaj gdy młody Brzeziński dowiedział się od kogoś, że ojciec łowi ryby na wędkę przy wybrzeżu gdańskiem, postanowił ostatecznie załatwić swe porachunki. Udał się więc na wskazane miejsce i rzeczywiście ujrzał ojca na łódce o kilkanaście zaledwie kroków od brzegu. Wiktor Brzeziński zauważył jednak syna na brzegu i przeczuwając coś złego, położył się na dnie łodzi. W tej chwili rozległ się huk ośmiu strzałów rewolwerowych, które Aleksander oddał w stronę ojca. Strzały na szczęście chybiły. Widząc to, zbrodniczy syn zbiegł. Policja wdrożyła za nim poszukiwania.

Bestjalski wybryk. Znany motocyklista Michał Kiepura, wracając późnym wieczorem na motocyklu z Prudnika pod Grudziądzem, wpadł na drut rozciągnięty wpoprzek drogi na wysokości półtora metra i doznał przecięcia tętnicy oraz nadwyrężenia kręgosłupa. W chwilę po wypadku nadjechało auto, którym przewieziono nieszczęśliwego do szpitala miejscowego, gdzie wkrótce zmarł. Za sprawcami rozciągnięcia drutu w poprzek drogi policja wdrożyła dochodzenia.

Tragiczna pomyłka. Na szosie pod Wielem na Pomorzu przodownik policji Rotalski przypadkowo zastrzelił przejeżdżającego na rowerze Jana Kriegla, 27-letniego syna ziemianina. Przodownik Rotalski wraz z innymi posterunkowymi staczał na tej drodze walkę z dwoma bandytami. którzy ukrywszy się w zaroślach, ostrzeliwali gęsto policję. Przejeżdżający Kriegel zorjentował się w sytuacji i zeskoczył z roweru, by przyjść z pomocą policji, Rotalski jednak, zdezorjentowany, sądząc, że to jeden z bandytów, strzelił do niego i trafił go w brzuch. Kriegel po dwóch godzinach zmarł. Rotalskiego aresztowano

Nieszczęśliwa ofiara znachora. Z Wilna donoszą: W zaścianku Daniliszki gminy ostrowieckiej zaszedł następujący wypadek. Jednemu z mieszkańców tej wsi Bolesławowi Ukralowi zachorowała żona. Ponieważ kobieta okropnie cierpiała, przewieziono ją do szpitala, skąd po kilkudniowej kuracji powróciła do domu, z małą tylko poprawą w stanie zdrowia. Gdy boleści znów się powtórzyły, udano się do słynnej w całej okolicy znachorki, która po „zbadaniu" pacjentki orzekła, że do kobiety „wdarł się djabeł". A że od tych chorób była specjalistką, za pewnem wynagrodzeniem podjęła się leczenia. Nakarmiła więc chorą baraniną, okadziła ją dymem ze smoły i traw, później przyniosła białego gołębia, ugotowała go i kazała zjeść, zapewniając, że „biała dusza gołębia wypędzi męczącego djabła". A gdy i to nie pomogło, radziła udać się do „czarodzieja" mieszkającego w odległym o 12 kilometrów zaścianku Danielówka. „Czarodziej" przystąpił do leczenia nieszczęśliwej kobiety więcej radykalnemi środkami, w rezultacie czego chora w strasznych męczarniach zmarła. Mąż zmarłej, który w niemałym stopniu przyczynił się do tak tragicznego końca, sam zameldował o wypadku policji, która wdrożyła dochodzenie.

Wyrok na bandę rabusiów. Sąd okręgowy wileński rozpatrywał sprawę bandy rabusiów słynnego przywódcy Jammonta, z którego ręki zginął w czasie obławy posterunkowy Franciszek Szałaciński. Banda ta grasowała w roku 1929 i 1930 w pow. lidzkim i szczecyńskim i była prawdziwym postrachem ludności. Sąd skazał Bolesława Łuczkę na 10 lat ciężkiego więzienia. Braci Adolfa i Antoniego Petruszowiczów po 8 lat ciężkiego więzienia.

Straszny samosąd nad złodziejami. We wsi Pieckach na Suwalszczyźnie zdarzył się wypadek strasznego samosądu chłopów nad złodziejami. Do gospodarza Jana Winka zakradli się w nocy złodzieje. Wink, nie spłoszył ich, lecz zmobilizował siedmiu sąsiadów, urządził pewnego rodzaju obławę i złodzieji przyłapał. Zebrani chłopi zaprowadzili złodzieji do młyna wodnego, przywiązali ich do koła, odemknęli stawidła i puścili koło w ruch. Złodzieje J. Barczewski i St. Kukawski błagali napróżno o litość. Gdy koło puszczono w ruch, nieszczęśliwi zaczęli wirować wraz z kołem, uderzając co chwila ciałami o wodę. Gdy nareszcie zatrzymano koło, Barczewski już nie żył, a Kukawski dawał słabe znaki życia. Sprawców strasznego samosądu aresztowano.

Niezwykła przygoda fotografa. Ofiarą niezwykłej i jedynej w tym rodzaju przygody padł dyrektor magazynów kolejowych w Budapeszcie, Michał Kadovic, zapalony amator fotograf, poświęcający temu miłemu zajęciu wszelkie swe wolne chwile z namiętnem oddaniem się. Pewnego dnia w południe, korzystając z wolnego czasu, chciał w magazynie założyć nowe płyty do aparatu fotograficznego, do której to czynności potrzeba bezwarunkowo miejsca ciemnego, gdyż inaczej płyty ulegają prześwietleniu. Dla dokonania tego wszedł do olbrzymiej kasy wertheimowskiej i przymknął drzwi za sobą tak jednakże nieudolnie, że nie mógł ich otworzyć.



Na szczęście wypadek ten widział młody pomocnik magazynowy, który natychmiast zawiadomił o tem przełożonych. Ponieważ klucz od kasy miał przy sobie zamknięty dyrektor magazynu, zawezwano więc pospiesznie mechaników, którzy po godzinnej niezmordowanej pracy zdążyli wybić w kasie otwór, dla dostarczenia zamkniętemu powietrza. Otwór ten powiększono następnie i przez niego wydobyto z trudem omdlałego amatora fotografa.

Nie będzie panien w Czechach. Grupa posłanek do parlamentu czeskiego wygotowała projekt ustawy, zawierający urzeczywistnienie jednego z postulatów czeskich feministek. Chodzi mianowicie o to, by kobiety pracujące zawodowo względnie kobiety z ukończonym 21 rokiem życia mogły niezależnie od swego „stanu" przyjąć tytuł „pani" zamiast „panna". Projekt idzie zrosztą jeszcze dalej, gdyż przewiduje okoliczności, w których panna niepełnoletnia będzie mogła żądać nazywania ją „panią". Ciekawa rzecz, jaką odniosą z tego korzyść?

Wesele na raty. Na ciekawy, iście amerykański pomysł wpadł pewien berliński właściciel garażu samochodowego. Zorganizował on agencję, która zapewnia śpieszącym przed ołtarz zakochanym parkom ziszczenie swych marzeń, bez zbytnich trosk o koszt fraka, sukni ślubnej, uczty weselnej i t. p. wydatków związanych z uroczystością ślubną. Nie znaczy to, by ów mniemany dobroczyńca obdarowywał szczodrze przeszytych strzałą amora. Dostarcza on poprostu rekwizytów potrzebnych do utraty wolności — na raty. Panna młoda może zatem wystąpić w pełnej gali ślubnej, narzeczony może oddać jej też do dyspozycji na cały dzień luksusowy samochód. Podobnie zaopatrzyć można weselnych gości, a wszystko to włącznie z ucztą weselną wynosi mniej, niż bukiet dla panny młodej, jeżeli chodzi o natychmiastowe wypłacenie gotówki. Wprawdzie potem długie lata zarobki pary małżeńskiej będą obciążone ratami, ale wtedy już i rozwód nie pomoże, gdyż rewersy, które małżonkowie podpisują tej ultra modernistycznej agencji, ścigać ich będą z pomocą egzekutora wszędzie, dopóki wszystkie nie będą zapłacone. I tak wskutek pomysłowości owego pana na biedaka spada równocześnie dwa nieszczęścia: żona i długi.

Wybuch amunicji. W dwóch miastach greckich Cavali i Drama wydarzyły się niezwykle groźne wybuchy sklepów z amunicją. W Cavali sklep z amunicją został podpalony, wskutek czego nastąpił szereg wybuchów, które trwały przeszło pół godziny i wywołały wrażenie, jakgdyby miasto było ostrzeliwane przez ciężką artylerję. Cztery domy, leżące w pobliżu sklepu, wyleciały w powietrze, a około 150 jest uszkodzonych. We wszystkich domach, leżących w promieniu dwóch kilometrów, wyleciały szyby. Wśród ludności wybuchła panika. Na szczęście poza dwoma ciężko i kilkunastu lekko rannymi, nie zanotowano dalszych ofiar w ludziach. W mieście Drama wskutek wybuchu w sklepie z amunicją wyleciały w powietrze dwa domy. Kilkadziesiąt osób odniosło cięższe lub lżejsze rany. Władze bezpieczeństwa są zdania, że chodzi tu o zamachy komunistyczne. Podejrzenia swoje opierają one na okoliczności, że przed kilku dniami kilka sklepów z amunicją w innych miastach padło ofiarą podpalenia. Podpalenia te nie wywołały jednak tak strasznych skutków, co w Cavali i w Drama.

Japończyk kapłanem trędowatych. W Gotemba jest kolonja trędowatych. Na miejsce zmarłego tam niedawno kapelana zgłosił się, jako ochotnik, młody kapłan japoński O. Iwaszita, który niedawno przeszedł na katolicyzm.

Niemiec królem murzynów. Angielscy podróżnicy, znajdujący się w Gold Coast Castle, natrafili na wieś murzyńską, w której czekało ich niezwykłe spotkanie. Znajdował się tam wysoki biały mężczyzna o bujnej złotej brodzie i długich włosach. Murzyni padali przed nim na twarz i czcili go jak swego króla i boga. Okazało się, że człowiekiem tym jest niemiecki sternik, Wilhelm Knoop. Okręt „Emilja", na którym służył ów człowiek, rozbił się w roku 1904 u wybrzeży Gwinei. Z 17 ludzi załogi jeden sternik tylko uszedł z życiem. Fale morza wyrzuciły go na brzeg. Tu znalazła go młoda murzynka szukająca na piasku muszli. Murzynka była córką króla plemienia Buru. Niemiec został odrazu zięciem królewskim, a po śmierci władcy, królem. Mimo namów Anglików, nie chciał on opuścić wyspy i swego ludu. Postanowił zostać tam nazawsze.

Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

RZECZY CIEKAWE.

Ilość państw na świecie.

Według statystyki międzynarodowej na świecie mamy 67 państw. Liczba ta nie obejmuje tych organizacyj państwowych, które wchodzą w skład kolonij, bądź dominjów wielkich mocarstw. Ciekawe są dane, dotyczące ustrojów tych państw. I tak:

Rządzi despotycznie dwóch cesarzy w Abisynji i w Marokku. W Japonji mamy cesarstwo konstytucyjne. A więc jeśli wyłączymy króla Wielkiej Brytanji, noszącego tytuł cesarza Indyj, mamy ogółem trzech cesarzy, łączących najwyższą władzę cywilną, wojskową i — kapłańską.

Znacznie więcej jest królów rządzących, gdyż 17, choć monarchij jest 19, ale Danja i Islandja zawarły unję personalną w osobie króla Chrystjana X, a Węgry nie wybrały jeszcze króla. Z tych 17 królów, tylko 4-ch rządzi absolutnie bez ustawy konstytucyjnej, a mianowicie: w Afganistanie, w Nepalu (niepodległy maharadża w Indjach), w Omanie — (niezawisły sułtan) i Siamie, 11 królów rządzi konstytucyjnie, a mianowicie: w Anglji, Belgji, Danji, Egipcie, Holandji, Norwegji, Persji, Rumunji, Szwecji i we Włoszech. Wkońcu dwu królów zawiesiło konstytucję, a mianowicie w Hiszpanji i w Jugosławji.

Osobno trzeba wymienić papieża, który w swej monarszej władzy świeckiej w państwie watykańskiem i w kościele katolickim (monarchja moderata) nie jest władcą absolutnym. Dalej mamy trzech książąt panujących, a mianowicie w Monaco, Lichtenstein i Luksemburgu.

Prezydentów republiki mamy 37, a więc prezydenci Andory, Argentyny, Austrji, Boliwji, Brazylji, Chin, Czechosłowacji, Chile, San Domingo, Equadoru, Estojni, Finlandji, Francji, Grecji, Gwatemali, Haiti, Honduras, Kostariki, Kuby, Kolumbji, Łotwy, Liberji, Litwy, San Marino, Meksyku, Nikaragui, Panamy, Paragwaju, Peru, Polski, Portugalji, Rzeszy Niemieckiej, Stanów Zjednoczonych A. P., Salwadoru, Turcji, Urugwaju i Venezueli.

Wreszcie mamy cztery państwa związkowe, na a mianowicie: Albanja, Arabja, Rosja i Szwajcarja. których czele stoi przewodniczący Rady związkowej,

Święte węgorze.

Do jednych z wielu osobliwości egzotycznych Indji, należy świątynie na wyspie Lombok, w której hodowane są i czczone, jak oświętość, olbrzymie węgorze.

Węgorze, opiekę nad którymi sprawują starzy kapłani, żyją w olbrzymim basenie i są karmione przez wiernych. Przez cały niemal rok do świątyni przybywają wierni, a zwłaszcza kobiety, które pragną zostać matkami i one przynoszą rybom pożywienie.

Istnieje przesąd, że skoro kobiecie uda się zobaczyć całego węgorza, wtedy niezawodnie zostanie matką. Jednakże szczęście to przytrafia się niewielu tylko pątniczkom. Ryby bowiem nadmiernie karmione są leniwe i ociężałe i spędzają całe dnie zagrzebane w piasku, lub też wśród kamieni na dnie basenu.

Ale na wszystko jest sposób. Skoro z pielgrzymką do świątyni wybiera się jakaś znakomita, lub można dama, kapłani są o tem zawiadamiani przez ludzi zaufanych i węgorze przez kilka dni nic nie dostają jeść.

Gdy przybędzie petentka, kapłani wrzucają do basenu kulki zrobione z ciasta i żółtka, na które węgorze są bardzo łakome. Kilkudniowy post zresztą wytrąca ryby z odrętwienia i każe im uganiać za pożywieniem.

Wtedy wypływają na powierzchnię basenu i ukazują się w całej okazałości oczom przyszłych matek.

Uszczęśliwione kobiety powracają z Lombok — w przekonaniu, iż niezadługo powiększy się ich rodzina. Suggestja w tych wypadkach ma nieraz poważne znaczenie.

Miłość macierzyńska u szczurów.

Doświadczenia, przeprowadzone na szczurach przez znanego fizjologa i biologa amerykańskiego Dr. Elmera Mc. Collum, dowiodły, że t. zw. miłość macierzyńska u tych zwierząt zależna jest w zupełności od zawartości w pożywieniu pierwiastka zwanego manganem. Szczury, żywione strawą, zawierającą mangan, choćby w bardzo drobnych ilościach, okazywały normalny rozwój instynktu macierzyńskiego, podczas gdy inne, pozbawione tego składnika pożywienia, bez skrupłów opuszczały swoje potomstwo i wcale się oń nie troszczyły. Gdy usiłowano podrzucić pomiot innym matkom karmiącym, którym odebrano własne małe, poznawały one natychmiast pomiot pochodzący od matek pozbawionych manganu i również nie chciały przyjąć pożywienia.

Fakt ten jest tem dziwniejszy, że jak stwierdził to niejednokrotnie Dr Mac Collum, samiczki szczurów łatwo dają się oszukiwać i nie robią zazwyczaj trudności w karmieniu podrzuconych im obcych małych.

Olbrzymie kolczyki.

Podróżnik angielski, p. Shir'ey Vernon, który bawił niedawno w celach naukowych na Sumatrze, przywiózł stamtąd okaz kolczyków, noszonych przez pewne kobiety plemienia Karo-Balak. Kolczyki te ważą 6 funtów; ale istnieją, zdaje się, kolczyki jeszcze cięższe, bo waga kolczyków rośnie wraz ze stanowiskiem, jakie zajmuje u Karo-Balaków mąż właścicielki kolczyków. Tak, kolczyki żony przywódcy plemienia ważą 9 funtów.

Żony osób skromniejszych noszą kolczyki, ważące od 2 do 3-ch funtów, wyrobione z drzewa lub kości. jedynie młode dziewczyny ozdabiają się kolczykami bardzo lekkiemi.

Tak ciężkie kolczyki zniekształcają naturalnie uszy i nadmiernie je wydłużają. Jednak, wśród plemienia Karo-Balak zniekształcone i wydłużone ucho uchodzi za znak arystokracji i piękności, tak samo zresztą, jak i wystająca warga.

Każdy kraj ma swoje zwyczaje i upodobania.

Jak szybko rosną sosny w maju.

Pewnemu leśnikowi norweskiemu udało się przy pomocy niezwykle precyzyjnych obliczeń wyrzyć godzinny wzrost młodych gałązek sosny. Powtarzając swoje pomiary o różnych porach dnia i w różnych miesiącach, doszedł do wyników, rzucających garść światła na życie roślin wogóle, a sosen w szczególności.

Otóż wydłużanie się gałęzi rozpoczyna się w maju, w czerwcu osiąga swe maksimum, a w ciągu lipca ustaje. Wydłużanie to odbywa się niejedna-

kowo w różnych porach dnia, słabsze jest nad ranem aniżeli po południu, a nawet przed wieczorem, natomiast około 8 godziny ustaje zupełnie, by znów się rozpocząć dopiero ze wschodem słońca. W ten sposób przyrost długości gałązek sosnowych wynosi 1.5 milimetra na godzinę w porze przedpołudniowej, a 2.7 milimetra na godzinę po południu. W połowie czerwca wzrost gałązek dochodzi do 27 milimetrów dziennie.

Opady atmosferyczne nie wpływają, a raczej wpływają ujemnie na wzrost gałęzi sosnowych zapewne naskutek oziębienia temperatury. Powolniej też rosną grube konary. Grubienie gałęzi odbywa się przez cały rok, jednakże niepodobna wymierzyć różnicy godzinnej, a nawet dziennej średnicy gałęzi.

Odpowiedzi Redakcji:

Pp.: **Alojzy Srokosz w P.:** Z nadesłanego artykułu w miarę miejsca skorzystamy. **Stanigol z B.:** Nadesłane nam utwory nic wspólnego z poezją nie mają, są to tylko rymy i więcej nic. **Staszek w B.:** Mamy duży zapas wierszy, iż nic stanowczego powiedzieć nie możemy. **Stanisław Jucha w K.:** Wierszyki zupełnie poprawne, odkładamy je do teczki, ale czy i kiedy będą drukowane, trudno nam oznaczyć. **Melka w Z.:** „Bohaterstwo kaleki", jak również wierszyki w miarę miejsca zamieścimy. — **Józef Górecki w K.:** A dlaczego pisze Pan zagadki na takich świsteczkach, nic łatwiejszego, jak je w stosach papierów zagubić. **Michał Moszczyński w N.:** Wycinanie plastrów z miodem pszczołom jest prawdziwem barbarzyństwem i okradaniem samego siebie. Przecież są teraz ule ramkowe, są miodarki, na których można miód czyściutko wytrzepać i próżne ramki znów pszczołom do ula wstawić. Aby pszczołom pracę ułatwić, trzeba koniecznie postarać się o sztuczną węzę i do ramek ją naciągnąć. Pszczółki wydatek, poniesiony na węzę, dziesięciokrotnie zwrócą. O węzę niech się Pan z całem zaufaniem zwróci do p. Edwarda Radomskiego Klewań 2. Wyrabia on kilka gatunków węzy tak gniazdowej, jak i magazynowej. Przekonałem się obecnie, że węza od niego jest znakomita. Niech Pan poda nam właściwe swoje nazwisko i adres, a na ten temat napiszemy listownie obszerniej.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Kawalec Józef z T.).

☆ ■ ☆	Przyjaciel po francusku.
☆ ■ ☆	Zgoda.
☆ ☆ ■ ☆ ☆	Miasto święte mahomet.
☆ ☆ ■ ☆ ☆	Droga.
☆ ■ ☆	Namuły rzeczne.
☆ ■ ☆	Tytuł.
☆ ■ ☆	Proszek do paznokci.
☆ ■ ☆	Dokument.
☆ ☆ ■ ☆ ☆	Dzień tygodnia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆	Roślina.
☆ ☆ ■ ☆ ☆	Budowla obronna średn.
☆ ☆ ■ ☆ ☆	Insygnium królewskie.
☆ ■ ☆	Zaimek.
☆ ■ ☆	Pręt.
☆ ■ ☆	Narząd wzroku.

Rząd środkowy da imię i nazwisko słynnego uczonego polskiego.

2. Zagadki.

(Ułożył Marjan Wietrzny z L.).

I.

Wprzód — to baby noszą w koszyku,
Wspak — „rzecz" w obcym języku.

II.

Wprzód — w Londynie kolej podziemna,
Wspak — odzież twoja codzienna.

3. Szarady.

(Ułożył Jan Malinowski z Ch.).

I.

Pierwsze czynnością każdego gracza,
Drugie wymawia zwykle ten kto daje,
Trzecie zaś zaimek oznacza.
Całość jest piękne i strach patrzeć na nie,
Bo możesz w nie być pięknie ubrany,
Lub też w kawałki przez nie rozszarpany.

II.

Pierwsze samogłoska, może być west-[chnieniem,
Drugie z wiosną po wodzie pływa,
Trzecie wspak w grze marzeniem.
Całość w każdym prawie domu się spożywa.

4. Kalambur.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Był naprzód chorobą,
Lecz gdy się odwrócił
I o „k" się skrócił,
Został ni całością,
Ani też połową.

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył Kula W. z M K.).

Sz. P.
Henryk Skokiejewon
Łowicz.

Odczytać zawód tej osoby.

6. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Karol Syposz z R.).

1. Jakie łowy, które palą sowy.
2. Jaki mężczyzna ma na końcu icki.
3. Jaki wiec podobny do ptaka.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 12 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 21 „Roli": 1. Logogryf: Juljan Ursyn Niemcewicz; 2. Szarady: I. Kawalerja, II. Tabaka, III. Kajak; 3. Układanka botaniczna: Burak, tulipan, groch, kapusta, cebula; 4. Łamigłówki: I. Wrona-brona, II. Meka-reka; 5. Bilet wizytowy: Nadleśniczy.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Ks. Wojciech Lipczyński z U., Stanisław Migas z L., Jan Konowalec z I., Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Ks. Karol Mirowski z N., Jan Stasiak z W., Karolina Pociechówna z U., Kazimiera Loretańska z L., Teofil Burman z K., Władysław Szproch z D. G., Wincenty Kula z M. K.

Nagrody wylosowali pp.: Kazimiera Loretańska z L. i ks. Karol Mirowski z N.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przy wojsku.

Lekarz do rekruta: Co ci dolega?
Rekrut: Nie mogę jeść chleba komiśnego.
Lekarz: Dlaczego?
Rekrut: Bo mi go inni wezmą i zjedzą.



Straszna śmierć.

— Słyszałeś już, nasz przyjaciel X. utonął!

— Mój Boże, jakie to straszne, on, co nigdy kropli wody do ust nie brał, musiał się jej tyle nałykać.



Trafna odpowiedź.

Walenty spotkawszy przyjaciela swojego pytał go:

— Jak się masz? Żona zdrowa? Dzieci czy się chowają?

— Tak, odpowie Jacenty, jak kto do nas przyjdzie, wszystkie się za piec chowają.



Także przyjemność.

— Proszę pana doktora, mam tu ząb spruchniały, który mi okropnie dokucza, możeby mi pan go wyciągnął.

— Owszem, owszem, z największą przyjemnością.



Wet za wet.

— Jak można mieć taki długi nos! Miałem pana zawsze za żyda, a jednak pan nim wcale nie jesteś.

— No widzi pan, jak można się mylić! Ja pana z powodu dużych uszów zawsze miałem za osła, a jednak pan nim jesteś.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 28 maja b. r.

Pszenica	34·50—35 00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto . .	30·00—31·00	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	32 00—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	47·00—47·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	57·00—59·00
Siano słodk.	15·00—16·00	Otręby pszen.	21·00—21·50
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	20·00—20·50
Koniczpastew.	19·00—21·00	Mąka czerw.	25·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 28 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·22 zł.	Jałownik	od 1·14 do 1·25 zł.
Woły . .	od 1·19 do 1·30 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1·30 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·30 do 1·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·65 do 1.75

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce wynosi wraz z przesyłką Zł. 3.50

Do nabycia w Administracji „Roli".

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża) n: p.
Tokaj, Malagę, reńskie, stołowe i t. p.

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.
Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, ul. św. Tomasza 22.

(Tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Najtaniej kupisz

Papę do krycia dachów i izolacji, smołę górnośląską, wapno, gips, cement, cegłę, trzcinę itp.

poleca w najlepszych gatunkach, po najniższych cenach od 45 lat istniejący skład p. f.

A. Guzikowski

Obecnie K. z Guzikowskich Rzegocińska

Kraków, Rynek Kleparski 8.

Telefon 10264.

Lekarz Dentysta

ALEKSANDER ROMM

w Krośnie

ordynuje jak zwykle w domu p. Jurysia obok Kasy Oszczędności. Leczenie, plombowanie i wyjmowanie zębów w znieczuleniu.
Zęby sztuczne na kauczuku i złocie.
CENY PRZYSTĘPNE! CENY PRZYSTĘPNE!
Przyjezdnych załatwia się natychmiast!

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120.
Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł.

Sztuczna węza z głębokiemi komórkami

Węza nasza jest jedną z najlepszych dlatego, że jest wyrabiana na aparacie przezemnie wynalezionym. Dlatego węza ta jest elastyczna i mocna, jak skóra.

Żądajcie bezpłatnie cennika i próbek **węzy sztucznej z głębokiemi komórkami.** 17 arkuszy na kilo.
Adres: E. Radomski, p. Klewań 2.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.